MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 37. WARSZAWA, 25 SIERPNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

W ŚWIETLE KONFERENCJI HASKIEJ

W CHWILI, gdy to piszemy, konferencja haska nie jest jeszcze zakończona. Nie można tedy ocenić jej wyników, można natomiast—na podstawie wydarzeń, jakie zaszły w czasie obrad — wejrzeć nieco głębiej we współczesne położenie polityczne i zorjentować się w ewolucji układu stosunków, jaka odbyła się w ciągu dziesięciu lat powojennych.

Zwraca przedewszystkiem uwagę zjawienie się nowej potencji, która uprawia dyplomację tajną w takim stopniu, że nawet starannie ukrywa swe działanie— kapitału międzynarodowego, który ma ambicję odgrywania roli politycznej. Wielcy finansiści nie po raz pierwszy wtrącają się do spraw politycznych — dość przypomnieć wielkie domy bankierskie z epoki Odrodzenia, które awansowały pieniądze na prowadzenie wojen i zajmowały się likwidacją finansową zatargów zbrojnych. Finansjera współczesna urosła w potęgę dzięki rozwojowi środków komunikacyjnych, przemysłu i handlu międzynarodowego; z drugiej wszakże strony na skutek demokratyzacji osłabła siła państw i jest ograniczona ich udzielność. Wynik zaś jest taki, że kapitał międzynarodowy sięga coraz śmielej po władzę nad światem. Jego dziełem jest plan Younga, a atak p. Snowdena na ten plan jest w dużym stopniu wypowiedzeniem wojny potędze tego kapitału.

Drugiem zjawiskiem jest to, co Francuzi nazywają *le renversement des alliances*. Ci, którzy sądzili, że sojusze i porozumienia z czasu wojny będą długotrwałe, zawiedli się. Zmienia się napięcie różnych sił, stąd powstaje nowy ich układ. W dużym stopniu odbudowali swe siły wewnętrzne Niemcy i dzięki temu wyszli ze stanu poniżenia, w jaki wtrąciła je przegrana wojna. Dziś Niemcy nietylko zostały równouprawnione formalnie przez wejście do Ligi Narodów; stanowią poważny czynnik w polityce międzynarodowej—liczą się z niemi inni i zabiegają o ich przyjaźń. Przestały być proszącemi i zabiegającemi i one teraz stawiają żądania i warunki. Delegacja francuska jechała do Hagi z tem przeświadczeniem, że będzie miała do zaofiarowania ewakuację Nadrenji, o którą Niemcy będą się starali, za którą będą gotowi zapłacić zgodą na gwarancje zastępcze i na plan Younga. Tymczasem role się odwróciły — Niemcy dostaną ewakuację darmo, a Francja będzie musiała zapłacić ustępstwami finansowemi i ograniczeniem jej poważnych gwarancyj zastępczych za przyjęcie planu Younga, którego dziś koniecznie potrzebuje. W Wersalu dyktowali warunki Francuzi, dziś zaczynają je dyktować Niemcy.

Nową pozycję w świecie politycznym zajmują Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Im wojna opłaciła się sowicie — stają się dzięki wojnie i dzięki udziałowi w tej wojnie jedną z pierwszych potęg światowych. Nikt dziś już nie może zaprzeczyć istnienia imperjalizmu amerykańskiego. Zjawienie się zaś tego imperjalizmu prowadzi z fatalną koniecznością do konfiktu między Stanami Zjednoczonemi a W. Brytanją. Wielka Republika amerykańska nie jest oficjalnie reprezentowana w Hadze, lecz cień jej pada na to miasto holenderskie. Walka p. Snowdena z kapitałem międzynarodowym jest także przejawem rozpoczynającej się rywalizacji dwóch imperjów — wschodzącego amerykańskiego i zachodzącego angielskiego. Nikt dziś nie jest w możności przewidzieć, czy za tem pierwszem starciem pójdą dalsze, czy też zjawią się próby porozumienia i współdziałania na podstawie podziału wpływów politycznych i gospodarczych na kuli ziemskiej.

Jeśli chodzi o stosunki między państwami europejskiemi, to wydarzeniem najważniejszem jest osłabienie, prawie że zniweczenie porozumienia francusko-

angielskiego, które dotychczas było podstawą stałości stosunków politycznych w Europie, a natomiast zarysowanie się wyraźne porozumienia francusko-niemieckiego, które Niemcom jest potrzebne dla przywrócenia ich dawnej granicy na wschodzie, a od którego krótkowzroczni politycy francuscy spodziewają się zabezpieczenia granic Francji bez trudu i wysiłku.

Te zaś wszystkie przemiany w Europie odbywają się przy akompanjamencie piorunów—na razie bardzo jeszcze oddalonych — zapowiadających burzę nad Pacyfikiem. Na teren polityki światowej wstępują Chiny— oto kapitalny nowy fakt w dziedzinie historji ludzi zamieszkujących naszą planetę. Przygotowująca się walka o wpływy i pozycje nad Oceanem Spokojnym oddziała decydująco na układ sił i na rozwój stosunków w starej Europie. Zajdą niewątpliwie zmiany, które na nowe tory dziejowe skierują życie wielu narodów europejskich.

Obok Włoch, które nie będąc zaangażowane w konflikty nad Pacyfikiem, będą nawiązywały coraz wytrwalej do dawnych tradycyj rzymskich i będą sięgały po rolę kierowniczą w świecie śródziemnomorskim, otwierają się nowe drogi i perspektywy przed Polską. Wystąpienie Chin wytworzy dla Rosji nowe zadania polityczne; będzie się ona musiała zwrócić całym frontem ku wschodowi, to zaś wpłynie na radykalną zmianę jej polityki na froncie europejskim. Siły dziejowe pchają do zbliżenia polsko-rosyjskiego, co umożliwi Polsce skuteczną obronę rubieży zachodnich.

To jednak jest muzyką przyszłości. Tymczasem zaś naskutek pewnej już dziś ewakuacji Nadrenji przygotowuje się atak „pokojowy" Niemiec na zachodnią granicę Polski — na Pomorze i Śląsk Górny. Niemcy ustawiają na szachownicy swe figury według starannie obmyślonego planu. Pracują nad tem, by mieć po swej stronie kapitał międzynarodowy, loże masońskie, drugą międzynarodówkę i inne potencje światowego znaczenia, pracują nad izolacją polityczną Polski, w pierwszej linji przez zbliżenie z Francją, co — w ich przekonaniu — da im poparcie Francji w razie wystąpienia z projektem rewizji postanowień terytorjalnych Traktatu Wersalskiego lub jej neutralność w razie ataku zbrojnego na Polskę. Uśmiecha się Niemcom nowe zwycięstwo pod Sadową, liczą na to, że potem nastąpi nowy Sedan.

Opinji polskiej ujawnił przebieg konferencji haskiej rzecz bardzo przykrą—obniżenie znaczenia Polski na terenie międzynarodowym i zupełny impas polityki naszej, która znalazła się w ślepym zaułku, skąd wyjścia nie widać!

Delegacja polska jest właściwie poza konferencją haską, gdyż odsunięta jest od udziału w komisji politycznej, gdzie są decydowane sprawy dla nas najważniejsze. Delegacja ta jest niemym obserwatorem rozgrywających się wydarzeń, jest skazana na zupełną bierność i bezczynność. Doprowadził do tego z jednej strony rozwój stosunków międzynarodowych w kierunku powyżej zaznaczonym, doprowadziły do tego z drugiej strony błędy polityki polskiej. Błędów tych szukać należy w dziedzinach następujących: w niezrozumieniu przez kierowników naszej polityki doniosłości przygotowywanego przez Niemcy ataku pokojowego na nasze granice, co prowadziło do nierozumienia znaczenia faktu ewakuacji Nadrenji i w błędach polityki w stosunku do Francji—lekceważenie zbliżenia francusko-niemieckiego i niezajmowanie szczerego stanowiska wobec tego zbliżenia, a niepotrzebne i nieuzasadnione fochy w sprawach drobnych; zaniedbanie istotnego, nie polegającego na powierzchownych tylko uprzejmościach zbliżenia z Włochami; „ekstratury" budapesztańskie wobec Małej Ententy; brak czynnej polityki w Europie środkowo-wschodniej; wreszcie uczuciowa, a nie rozumowa polityka w stosunku do Rosji.

Obok tego wszystkiego zaś postawić należy swoiście pojęty „lokarnizm" polityki p. Zaleskiego. Zapowiadano po maju r. 1926 zerwanie z polityką p. Aleksandra Skrzyńskiego, wyrażano się o niej bardzo ostro, obiecywano nową erę w polityce polskiej. Tymczasem unosił się nadal nad polityką polską „duch lokarneński". Różnica polegała tylko na tem, że p. Skrzyński miał jakiś plan w swej polityce lokarneńskiej, w postępowaniu natomiast p. Zaleskiego trudno się planu takiego doszukać.

Byliśmy zawsze przekonani o tem, że układy lokarneńskie, wprowadzając rozróżnienie między granicą zachodnią, a wschodnią Niemiec, staną się punktem wyjścia rewizjonistycznej polityki Rzeszy w stosunku do granicy polsko-niemieckiej. Uzasadniliśmy to stanowisko w dwóch artykułach, zamieszczonych w r. 1925 w „Przeglądzie Wszechpolskim". Było jednak rzeczą oczywistą, że do paktów lokarneńskich doszłoby i poza nami i wbrew nam. O ile się orjentujemy, p. Skrzyński zajął wobec przygotowujących się paktów takie stanowisko: Pogodzić się z nieuniknionemi faktami, a wzamian za to wyciągnąć z nich te korzyści, jakie się wyciągnąć dadzą — uzyskanie stałego miejsca w Radzie Ligi i wzmocnienie pozycji Polski na terenie międzynarodowym. Entuzjazm lokarneński i patos p. Skrzyńskiego raziły opinję publiczną, a odejście od władzy nie pozwoliło mu na realizację wyników jego politycznych posunięć. Sposób przemawiania p. Zaleskiego zjednał mu na początku opinję w Polsce, zaś plony, jakie zbierał z polityki swego poprzednika, wytwarzały pozór „sukcesów". Pokazało się jednak, w miarę postępu czasu, że p. Zaleski stosuje w dalszym ciągu system lokarneński, tylko że robi to w sposób i w okolicznościach, które już żadnych nie zapowiadają korzyści. Takim zupełnie nie w porę zastosowanym „lokarnizmem" był wniosek, który p. Sokalowi polecono postawić w Genewie oraz stanowisko zajęte wobec paktu Kelloga. Doprawdy,

z dwojga złego, lepszy i bardziej uzasadniony był „lokarnizm“ p. Skrzyńskiego. Oparłszy się na pewnych owocach, jakie wydał, można było i opuścić w chwili właściwej fałszywą drogę lokarneńską i wzmocnić pozycję Polski na terenie międzynarodowym. Dalsze brnięcie po tej drodze doprowadziło nas do impasu haskiego, z którego można znaleźć wyjście tylko zawróciwszy radykalnie wstecz.

STANISŁAW KOZICKI

ROZKŁAD I PUSTKA

ETYKA „PIERWSZEJ BRYGADY“

MOGLIBYŚMY przytoczyć długi szereg przykładów burzącej roboty sanacyjnej na niekorzyść żywiołów polskich i katolickich, a na korzyść obcoplemiennych i obcowyznaniowych*). Moglibyśmy dokładniej zbadać życzliwe skłonności dla pacyfizmu światowego, gdy równocześnie „sanacja“ wewnątrz kraju wypowiada bezwzględną wojnę narodowemu odłamowi społeczeństwa. Moglibyśmy także szczczegółowiej zastanowić się nad dziwną sprzecznością w postępowaniu „sanacji“, która z jednej strony gorliwie popiera ideę „zbratania ludów“, a z drugiej strony zieje nienawiścią do przeważnej części własnego narodu.

Dziwna jest też wyrozumiałość dla nacjonalizmu żydowskiego i dla Palestyny, budowanej przez mniejszość żydowską dla siebie na gruzach niszczonej ludności arabskiej, chociaż równocześnie w kraju „sanatorowie“ są przeciwnikami państwa narodowego, a wyznają raczej pogląd, że Polska jest własnością kilku narodowości. Popierają hasło: „Palestyna dla Żydów“, lecz sprzeciwiają się hasłu: „Polska dla Polaków“.

W dziedzinie polityczno-gospodarczej wprawdzie partję socjalistyczną zepchnięto na szary koniec komety sanacyjnej, a to z nakazu przezorności agitacyjnej, lecz ideologja socjalistyczna tkwi nadal w umysłach „pierwszej brygady“ i uzewnętrznia się niemal we wszystkich poczynaniach (etatyzm, który tak bardzo się rozrósł w przemyśle, rolnictwie, bankowości i t. d. jest tego dowodem).

Te wszystkie objawy niechęci i nienawiści do jednych, a życzliwości i gorliwej serdeczności dla innych — wskazują, że *„nebulium“* sanacyjne jest częścią jakiegoś ogólniejszego *„nebulium“*, promieniującego także z poza obrębu narodu polskiego i z poza granic Polski. Jeżeli działanie tego *„nebulium“* scharakteryzujemy ogólnie jako z jednej strony popieranie pacyfizmu, obcoplemieńców (szczególnie Żydów), nie-katolickich wyznań i sekt, idei „stanów zjednoczonych“ i t.d. — a z drugiej strony jako zwalczanie polskiego ruchu narodowego, katolicyzmu, idei jednolitego państwa narodowego i t. d. — jeżeli dalej weźmiemy pod uwagę nieukrywaną życzliwość dla masonerji — to na podstawie tych spostrzeżeń musimy dojść do wniosku, że niewidzialne *„nebulium“* jest emanacją, jakiemś odgałęzieniem ogólnego *„nebulium“* masońskiego.

Nie działa ono jeszcze w Polsce tak sprawnie i tak zręcznie jak gdzieindziej. Przyczyna pewnych tarć, zgrzytów i niepowodzeń tkwi w tem, że „sanacja“, jako wykonawcze narzędzie tajemniczego *„nebulium“*, jest mechanizmem ciężkim, pośpiesznie zmontowanym, i naprędce kleconym z różnorodnych składników, które w jednej dziedzinie oddają pewne usługi (np. konserwatyści, zwalczając „endecję“), lecz w innej trudno je nagiąć i przyzwyczaić do włożonego jarzma, wskutek czego ociągają się, buntują i wierzgają. „Poskromiciele“ mają wiele trudów z takim surowym i nieobrobionym materjałem. Podkomendnych podzielono wprawdzie na odrębne pułki, nadano im wtajemniczonych i jako tako wyszkolonych dowódców, lecz i to na dłuższy okres czasu nie pomaga. Zdarzają się ciągle przykre „wpadki“ i „wsypy“.

*) Patrz artykuły: „Czy istnieje filozofja polityki sanacyjnej?“ i „Ciemności sanacyjne“ w Nr. Nr. 35 i 36 „Myśli Nar.“.

Wspomnieliśmy już poprzednio o tem, że ogólnem hasłem, łączącem całą zbieraninę sanacyjną do wspólnego działania, jest hasło: „wszystko dla państwa“. Oprócz tego istnieje też programowa zachęta, wyrażona w słowach: „należy wzmocnić władzę wykonawczą“. Te dwa zawołania byłyby jednak za słabe i nie zdołałyby zepewnić większych powodzeń dowódcom sanacyjnym. Stworzyli przeto osobną etykę państwowo-polityczną i na niej się opierając, żądają od społeczeństwa bezwzględnego posłuchu.

Zasady etyki sanacyjnej są bardzo proste. Gdyby ułożyć je w kształcie krótkiego katechizmu, brzmiałby on mniej więcej tak:

Najwyższem dobrem Polaków jest państwo.

Najwyższymi dobroczyńcami Polaków są wskrzesiciele państwa.

Wskrzesicielom państwa należą się najwyższe nagrody w postaci urzędów, orderów, ziemi i innych wartości.

Wskrzesicielami państwa polskiego jesteśmy my, nieśmiertelna „pierwsza brygada“.

Nam należą się nagrody za nasze krwawe boje i trudy wskrzesicielskie.

My musimy czuwać nad tem, ażeby wskrzeszone państwo polskie, to dzieło naszego bohaterskiego wysiłku, zostało wepchnięte na bezpieczną drogę, prowadzącą do mocarstwego rozwoju, zgodnie z najwyższemi ideałami ludzkości.

My, „pierwsza brygada“, czujemy w sobie wewnętrzny nakaz, ażeby wziąć na siebie całkowitą odpowiedzialność za losy państwa i ująć w swoje ręce władzę, która nam się oprócz tego należy jako nagroda.

W otaczającem nas morzu partyjnictwa, przekupstwa, bezwładności, martwowy, idjotów, złodziei, antypaństwowców, reakcjonistów i zbrodniarzy,—my, „pierwsza brygada“ jesteśmy cudowną wyspą bohaterskich cnót: wytrwałości, pracowitości, uczciwości, odwagi, „radosnej twórczości“ i jeszcze wielu innych, narazie pod wpływem skromności nieujawnianych.

Wobec tego naród polski, obdarzony przez nas wskrzeszonem państwem, powinien uznać w nas najlepszą swoją cząstkę i w ręce nasze dobrowolnie złożyć swoją przyszłość.

Jeżeliby naród dobrowolnie przed nami się nie ukorzył, to go do tego siłą zmusimy, albowiem tego wymaga nakaz: „wszystko dla dobra państwa“ oraz „dla wzmocnienia władzy wykonawczej“.

Tak mniej więcej sformułowaćby można skrócony katechizm etyczny, ułożony przez „sanatorów“ dla siebie i dla społeczeństwa. W dodatku jeszcze jeden ważny przepis:

— Nie uznaje się ani zasług, ani krwi przelanej, ani wogóle żadnej pracy ludzi, którzy nie należą do „pierwszej brygady“.

Poza „pierwszą brygadą“ nie można skutecznie służyć Ojczyźnie.

Etyka wskrzesicielsko-utylitarystyczna „pierwszej brygady“ nie znalazła uznania w społeczeństwie pol-

skiem, które okazało się dość obojętne dla nowej „ewangelji“. Gorliwi wskrzesiciele wytoczyli więc armaty i karabiny na ulice, ażeby temi „ideowemi“ środkami wychowawczemi wpoić w dusze obywateli cześć dla sanacyjnych zasad etycznych. Oprócz tego wbrew „heurystycznej“ metodzie, stosowanej w dzisiejszem szkolnictwie, nasi wskrzesicielscy wychowawcy używają różnych rodzajów siły, ażeby wzbudzić w całym narodzie jeżeli nie uwielbienie dla siebie, to przynajmniej strach. Lecz i to nawracanie małe wydaje owoce.

SANACYJNA TEORJA PRAWA

O ile teorja etyki sanacyjnej jest już mniej więcej ustalona, o tyle w zakresie teorji prawa panuje jeszcze ogromna rozbieżność zdań. Inaczej rozumieją prawo prof. W. Makowski, ks. Janusz Radziwiłł, czy prof. J. Kochanowski, inaczej pos. Sanojca czy pos. Burda, inaczej bojowcy sanacyjnego B. B. S., inaczej wreszcie ci, co z gorliwości sanacyjnej napadali pod ochroną nocy na min. Zdziechowskiego, na red. Mostowicza, na A. Nowaczyńskiego i innych.

Rosyjski myśliciel Sołowjew nie znał jeszcze sanacyjnej teorji prawa, gdy pisał (patrz: Wł. Biegański: „Etyka“, str. 349):

— „Prawo w interesie swobody indywidualnej pozwala ludziom nawet być złymi, nie miesza się do ich wolnego wyboru pomiędzy dobrem i złem; tylko w interesie ogólnego dobra prawo przeszkadza złemu człowiekowi stać się triumfującym złoczyńcą, niebezpiecznym dla społeczeństwa.

Zadanie prawa wcale nie polega na tem, żeby na ziemi zapanowało królestwo Boże, lecz na tem, żeby tutaj nie panowało piekło“.

Ponieważ — według poglądów arcykapłanów sanacyjnych — w Polsce jest więcej „ludzi złych“, pozostających pod wpływem narodowych czy partyjnych „piekieł“, przeto cóż dziwnego, że nowi reformatorowie doradzają tworzyć i wprowadzać takie prawo, któreby raz na zawsze „przeszkodziło złym ludziom triumfować“ i nie dopuściło do tego, ażeby tutaj, na polskiej ziemi, powstało jakieś narodowe, polskie „piekło“. Wprawdzie „sanatorowie“ nie są zgodni w tem, do jakiego „królestwa Bożego“ mają dążyć w przyszłości, są wyznawcami różnych religij, a spotkać też można między nimi i bezwyznaniowców, lecz wszyscy godzą się na jedno: nie wolno dopuścić do tego, ażeby kiedykolwiek triumfowała... „endecja“.

Trzeba przyznać, że ta teorja prawa ma przynajmniej jakiś „poziom“ umysłowy i etyczny. Zdarzają się jednak i tacy „reformatorowie“, którzy z wielką pilnością i uwagą powinniby sobie przeczytać ciekawe wywody P. Janeta (patrz: „Historja doktryn politycznych“ tom 2-gi, str: 81). Streszczając poglądy Monteskjusza, pisze francuski uczony:

— „Są... państwa, gdzie prawa traktują ludzi jak zwierzęta, nie żądając od nich żadnej cnoty, żadnego poświęcenia, jedynie tylko materjalnego posłuszeństwa: nie pozostawiają poddanym żadnej godności ani nawet żadnego bezpieczeństwa; zmuszają ich do „dobra“, to znaczy do tego, co pewna osoba za dobre samowolnie ogłosiła nie przez poczucie sławy, ani nawet przez szlachetne zamiłowanie do zaszczytów i wyniesienia, ale wyłącznie przez przemoc: te upodlające prawa rządzą tylko zapomocą terroru“.

Jeżeli sobie przypomnimy, że nawet bardzo wysocy przywódcy „sanacji“ zalecali wprowadzenie nowej konstytucji drogą „łamania kości“ (pułk. Sławek), że konserwatyści aż się palą do „oktrojowania“ — to może bylibyśmy skłonni sądzić, że Monteskjusz, omawiając różne teorje prawne, na 200 lat naprzód przewidział niektórych reformatorów prawa z pod znaku Be - Be.

Dużo mówi się w Polsce o konieczności wprowadzenia nowej konstytucji. Nie chcemy poruszać tego zagadnienia w sposób zasadniczy. Może jednak dobrze byłoby gdyby przytoczyć z naszych dziejów pewien szczegół: Gdy po kongresie wiedeńskim „wskrzeszono“ Polskę w r. 1815 w postaci t.zw. Królestwa Kongresowego, wtedy „wskrzesiciel“, car Aleksander, pisał do Czartoryskiego: „odbudowanie Polski jest najulubieńszem mojem marzeniem“. Nadał też „wskrzeszonej“ przez siebie Polsce konstytucję, której jednak nie przestrzegał. To też w Warszawie uzupełniono słowa znanej modlitwy i śpiewano:

— „Od powietrza, ognia, wojny i od wskrzesicieli zachowaj nas, Panie“.

A znów minister Badeni zwykł był dowcipnie mówić o konstytucji:

— „Konstytucja na stole, a bat pod stołem“.

Zdanie to zmienił w niedługim czasie i równie dowcipnie stwierdzał:

— „Już bat na stole, a konstytucja pod stołem“.

Tak było w czasach niewoli, gdy nad Polską srożyła się brutalna przemoc zaborców. Ze smutkiem jednak można dzisiaj spotkać ludzi, dla których „bat“ i „konstytucja“ wydają się równowartościowemi środkami. I dosyć często sanacyjna filozofja „konstytucji“ jest właściwie filozofją „bata“, używanego z większem lub mniejszem umiarkowaniem „dla dobra państwa“. Poglądy takie słyszeliśmy kilkakrotnie z różnych stron.

Różnice polegają tylko na tem, że jedni chcą ukręcić „bat“ i „konstytucję“ z przędzy, wyhodowanej przez ogrodników konserwatywnych, inni pragnęliby użyć przędzy grubszej, radykalnej. I jedni i drudzy chcą jednak zgodnie „wzmocnienia władzy wykonawczej“.

Duch konstytucyjny „wskrzesiciela“, cara Aleksandra, pokutuje jeszcze w odrodzonej Polsce, trzymając się umysłów, które wprawdzie nie chciały mieć nic wspólnego z Rosją, lecz mimo to bezwiednie przejmowały rosyjską filozofję „prawa“ i chciały ją przeszczepić do naszego kraju. Jest to oczywiście zjawisko przejściowe. Może jednak pozostawić po sobie wiele szkodliwych i niebezpiecznych śladów.

WIELOŚĆ ROZBIEŻNOŚCI I TWORZENIE CHAOSU

Nie wszystkie odłamy sanacyjne są zdolne do wytworzenia jakiejś „filozofji polityki“. Trudno np. tego żądać od pos. Burdy lub pos. Sanojcy, chociaż ci głośni przedstawiciele „radosnej twórczości“ posiadają dość wysoki stopień wykształcenia w porównaniu z innymi kolegami swoimi z Be - Be; są jednak tak bardzo zajęci „praktyczną“ polityką, że na teoretyczne rozważania już nie mają czasu. Prawdopodobnie nawet ich nie lubią, idąc wzorem tych, co „prędzej działają, niż myślą“.

Więcej możnaby wymagać od ludzi, mających czas i trudniących się niejako zawodowo zagadnieniami poważnemi. Prof. W. Makowski, prof. J. K. Kochanowski, prof. Wł. L. Jaworski, pos. Kirschbraun (przedstawiciel żydowski w klubie Be - Be), pos. Jan Piłsudski, pos. Mackiewicz i inni — posiadają niewątpliwie każdy dla siebie jakąś swoją „filozofję polityki“. Jedni ją ujawnili, inni się nie wypowiadają.

Nam jednak nie chodziło o te jednostkowe, indywidualne systemy filozoficzno - polityczne poszczególnych działaczów sanacyjnych, lecz o charakterystykę całości. Pragnęliśmy odszukać jakieś ogólne hasła,

dążności i zawołania, wspólne wszystkim odłamom Be - Be.

Po dotychczasowych rozważaniach możemy tę całość sanacyjną określić następującemi słowami:

Jest to wielość rozbieżności, pozbawiona wewnętrznej jedności ideowej, a tylko mechanicznie wciśnięta w formę wielkiej komety politycznej, która posiada małą kierowniczą głowę, natomiast długi, rozrzedzony i nieuporządkowany ogon. Kometa leci wyznaczonym jej torem, poruszając się w obrębie rozległego astronomicznego układu, różniącego się od innych tem, że jego zasadniczym pierwiastkiem jest „*nebulium massonicum*". Pierwiastek ten, przenikający całą kometę sanacyjną, nie jest w niej równomiernie rozmieszczony. W pewnych skupieniach jest bardzo zgęszczony i prawie namacalny, w innych zaś jest ogromnie rozrzedzony i trudno dostrzegalny. Znajduje się jednak wszędzie, zaznaczając się na widmie mgławicy stałą linją promieniowania.

Dochodzimy do wniosków końcowych.

Mgławica sanacyjna, będąc wielością rozbieżności, nie jest organizmem jednorodnym, zdolnym do rozwoju. Nie będzie się rozwijała według teorji Laplace'a. Ona może tylko pędem swoim rozbijać twory inne i porywać je za sobą w ogonie. I to jest bodaj jedynym jej celem: Rozbicie spoistości narodu polskiego, aby powstał ogólny chaos.

Z mgławicy sanacyjnej nie utworzy się w dalszych przemianach ani słońce, ani planeta, ani wogóle żadna gwiazda. Będzie się rozpadać, wydłużać, ścieśniać, wykolejać, rozsypywać, nowe barwy świetlne przybierać — lecz pozostanie ciągle mgławicą, aż kiedyś rozproszy się w przestrzeni zupełnie i ostoi się po niej tylko pamięć historyczna.

Zadaniem jej było i jest szerzenie chaosu i zamieszania wśród otaczających ją sił, ażeby ona sama tylko pozostała w przestrzeni jako potencjalny zarodek jakiegoś nowego, przyszłego świata polskiego, który ma dopiero powstać. Mgławica nie uznaje żadnego współdziałania, żadnej współzależności i żadnych wspólnych praw istnienia. Ona chce sama tylko istnieć, a ponieważ nie może w siebie wchłonąć polskiej rzeczywistości, przeto pragnie dokoła siebie stworzyć nicość, ażeby wewnątrz niej trwać bezpiecznie i dumnie.

Stąd pochodzi owa nienawiść i pogardliwe lekceważenie okazywane dzisiejszemu społeczeństwu. Nie chce ono wskoczyć do ogona sanacyjnego i pędzić razem z nim i w nim „na oślep" w przyszłość. Mgławica sanacyjna wciska się więc do wnętrza narodu polskiego, rozluźnia i rozrywa jego wiązadła organizacyjne, przecina jego spoidła, rozbija zwarte skupienia, zmienia łożyska rozwojowego nurtu, chcąc cały świat polski pchnąć w innym niż dotychczas kierunku.

Nikt nie wie, jaki ma być ten nowy kierunek. A jeżeli niektórzy śmiałkowie mają odwagę twierdzić, że coś o tem wiedzą — to przemawiają tak rozbieżnemi językami i wysuwają tak sprzeczne cele (od monarchizmu aż do rewolucyjnego socjalizmu), że przypominają raczej biblijną wieżę Babel, niż zorganizowaną jedność.

„Sanacja" uważa teraźniejszą Polskę za siedlisko najgorszych chorób fizycznych i moralnych. Słyszymy ciągle o „wrzodach", o „gangrenie", o „tchórzostwie" i o innych okropnościach, które „żarły Polskę". Rzucili się więc „wskrzesiciele" do ratowania Polski, narzucili się jej przemocą na lekarzy i zaczęli ją leczyć... Od trzech lat leczą...

I dzisiaj wiemy już prawie wszyscy, że jesteśmy rzekomo niemal zbiorowo **chorzy**, ale nie powiedziano nam dokładnie, jaki właściwie jest ideał prawdziwego, zdrowego Polaka? A przecież trzeba ten ideał pokazać i zarazem szczegółowo wyjaśnić, na czem polega tajemnica jego zdrowia fizycznego i moralnego...

POLITYKA SANACYJNA NIE BĘDZIE POLITYKĄ NARODOWĄ

Wracamy do zasadniczego pytania, które postawiliśmy: Czy istnieje filozofja polityki sanacyjnej?

Na to pytanie odpowiadamy, że jednolitej filozofji polityki „sanacja" nie posiadała i nie posiada. Można w najlepszym razie mówić tylko o filozoficznych teorjach poszczególnych jednostek, należących do takich czy innych odłamów sanacyjnych. Przeważnie jednak i te różnorodne, indywidualne „filozofje" nie są ideową podstawą działania ich twórców, lecz raczej dorobionem, późniejszem usprawiedliwieniem ich postępowania. Wszystkie bowiem wysiłki „sanacji" zmierzają do tego, ażeby się utrzymać przy władzy. Zdobywanie zwolenników drogą zwykłą (przekonywanie i rozumowanie) nie zostało uwieńczone pomyślnemi wynikami, przeto „sanacja" użyła siły i przemocy, ażeby się narzucić społeczeństwu. I od tego czasu poszukuje się takich teoryj filozoficznych, któreby usprawiedliwiały owo użycie siły.

Jedni mówią wprost o „łamaniu kości", inni chcą ponownego, dodatkowego „zamachu", inni pragną gorąco „oktrojowania" nowej konstytucji, a jeszcze inni powiadają, że Polacy są „narodem idjotów" i dlatego trzeba im dać wychowawców zgóry, bez pytania się o ich zdanie. Nie brak też i takich, co zalecają „dla dobra państwa" używać na przemian raz „bata", to znów... „konstytucji".

Nie będziemy się zastanawiać nad obecnem położeniem politycznem w Polsce, ale jest pewne, że „sanacja" chce być uważana za jedyną siłę, zdolną do rządzenia państwem przez długie lata. Wolę utrzymania się przy władzy usiłuje ubrać w szaty filozoficzne, dorabiając do tej politycznej zachcianki odpowiednią etykę i teorję prawa. „Polityka jest to dążenie do władzy" — powiedział przed wojną znany filozof polityczny z Krakowa. Ten pogląd można w całości zastosować do „sanacji". Jej polityka nie jest naprawdę niczem więcej, jak tylko „dążeniem do władzy".

Tym wszystkim jednak, co chcieliby przy pomocy „bata" lub „łamania kości" prowadzić Polskę do świetności, należy przypomnieć roztropne przestrogi Emila Faguet'a (patrz: „Liberalizm"—str. 390):

„Despotyzm bardzo szybko doprowadza do upadku narody, sprowadza je w krótkim czasie do stanu niemocy i zaniku, z którego już podnieść się później nie mogą, w szczególności zaś despotyzm *modern style* (w stylu dzisiejszym), to znaczy panowanie jednej partji w kraju rzekomo wolnym, panowanie syndykatu politycznego, który żyje z państwa i który, poddając niewoli inne obozy, tamuje źródła twórczości, dla państwa niezmiernie pożytecznej, ze strony jednostki czy też zbiorowości.

Taki despotyzm jest formą rządu, która kaleczy naród i dokonywa na nim amputacji gorszej, niżby to nieszczęśliwa wojna mogła uczynić, jest formą rządu, która sprawia, że z każdym rokiem kraj w skali porównawczej narodów spada o jeden stopień zarówno pod względem ekonomicznym, jak i politycznym".

Sanacyjni „wychowawcy" wyrażają się często ujemnie i pogardliwie o narodzie polskim, przeciwstawiając mu elitę „pierwszej brygady", która rzekomo pracuje dla całego narodu, biorąc na siebie troskę o jego całość. Świadczy to o wysokiej ambicji przywódców sanacyjnych, jest to jednak sprzeczne z nakazami rozsądku. H. George słusznie bowiem zazna-

cza (patrz: Józef Milewski: „Zagadnienie narodowej polityki", str. 385):

„Rozwój cywilizacji wymaga, aby coraz więcej rozumu poświęcano sprawom społecznym, i to nie rozumu niewielu, lecz rozumu wielu ludzi.

Nie możemy bezpiecznie pozostawić polityki tylko zawodowym politykom, albo gospodarstwa społecznego tylko profesorom. Naród sam musi myśleć, bo naród sam tylko może działać".

Wprawdzie w łonie „sanacji" nie wiele się liczą z zawodowymi politykami czy też z profesorami, nad którymi górują dzisiaj niepodzielnie „pułkownicy", ale niema tam również wielkiego zaufania do narodu. „Pierwsza brygada" wierzy tylko w siebie i w nikogo więcej. Byłoby więc rzeczą pożyteczną, aby konserwatyści krakowscy, którzy chcą uchodzić za elitę umysłową wśród „sanacji", przypomnieli swoim towarzyszom i uczniom mądre przestrogi Szujskiego, który pisał (patız: „Kilka prawd"):

„W polityce, jak wszędzie, istnieć powinien podział pracy, dokonany pod sztandarem narodowego dobra; każdy tam powinien objąć stanowisko wedle zasobów swoich i sił, bo grzechem, dorastającym często do rozmiarów zbrodni, jest branie nad możność i siły, czy to przez ambicję czy przez nierozum".

A „sanacja" do swoich wszystkich braków dodaje właśnie ogromną, dotychczas nigdzie w takich rozmiarach niespotykaną pychę i zarozumiałość. Nie byłaby ona tak szkodliwa, gdyby była tylko wadą charakteru, lecz—niestety—stała się ona zasadą etyki sanacyjnej, czego dowodzi sztandarowa pieśń „pierwszej brygady" i wynurzenia czołowych osobistości. Czy trzeba przytaczać szczegóły? — Znają je wszyscy.

Polityka sanacyjna chciałaby zająć pierwsze miejsce w społeczeństwie jako nowa polityka narodowa. Czy to się stanie? — Twierdzimy, że te wysiłki spełzną ostatecznie na niczem, albowiem (patrz: J. Milewski: „Zagadnienie narodowej polityki" — wyd. 2, str. 20):

— „Polityka narodowa ma prawo i obowiązek żądać, aby te tylko idee krzewić i szczepić, co podnoszą i pomnażają siły narodu—te musi potępić, co rozpraszają, rozluźniają, osłabiają siły, co na nienarodowe manowce odwodzą myśl, ferment szkodliwy wnoszą w etyczne i polityczne wyobrażenia".

Toruń STEFAN SACHA

MASONERJA A POLITYKA

JAK wiadomo, masoni niższych stopni przeświadczeni są niekiedy, że masonerja nie ma nic wspólnego z polityką. Jeżeli np. weźmiemy do ręki Konstytucję Związku i różne Statuty lóż austrjackich,*) znajdziemy w nich wyraźne stwierdzenie ich apolityczności. Głoszą one, że „celem Związku (§ 2, i) jest budzenie zmysłu prawdy, sprawiedliwości i miłości bliźniego". „Polityczna działalność jest wykluczona". „Cele osiąga Związek przez zachęcanie członków do życia zgodnego z etyką przez dyskusje i odczyty członków, kursy, czytelnie, szkoły i działalność filantropijną".

Statuty masonerji austrjackiej są dosłownem powtórzeniem statutu istniejącego w Wiedniu od r. 1894 Towarzystwa Etycznego. Gdy bowiem w 1909 r. starano się o uznanie masonerji w Austrji i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych odrzuciło podanie o zatwierdzenie, poradzono sobie w ten sposób, że dano statutom identyczne brzmienie ze statutami owego T-wa Etycznego. Celu jednak nie osiągnięto, ministerstwo odmówiło zatwierdzenia, powołując się na to, że masonerja jest związkiem tajnym i zatwierdzenie masonerji nastąpiło dopiero w 1918 roku.

W statutach lóż, zakładanych po 1918 r. wprowadzono malutką zmianę, do której jednak masoni przywiązują dużą wagę: zamiast o wykluczeniu działalności politycznej mówi się o wykluczeniu działalności „partyjno-politycznej". „Bezpartyjnych" bloków nie wyklucza się więc... nawet na zewnątrz.

Co innego, niżli statuty, stwierdzają oficjalne mowy, wygłaszane na posiedzeniach lóż. W mowie oficjalnej, wygłoszonej 25 paźdz. 24 r. na otwarciu loży „Mozart", mówione było o politycznej działalności lóż, jako o nowej drodze, na którą masonerja wstępuje (mowa drukowana była w „*Wiener Freim. Zeitung*"): „Drogi, po których ludzie z ciemności życia kroczą ku jasnemu światłu ludzkości, zmieniają się. Czy nie było to nową drogą, gdy W. Loża Wiedeńska w roku zeszłym kładła na poszczególne loże obowiązek dążenia do wyrównania przeciwieństw na gospodarczem i także na politycznem, rozumie się, nie partyjno-politycznem, polu? Do dziś traktowanie tego rodzaju politycznych spraw było wykluczone, teraz jest dozwolone i więcej nawet: zalecone. Wielka Loża nie mogła oprzeć się wymaganiom nowych czasów. Zwłszcza młodsi bracia chcieli w zamętach dzisisiejszych czasów odnaleźć odpowiednią drogę przez kunszt królewski, który kochają i od którego oczekują odpowiedzi na kwestje kulturalne, społeczne, a także polityczne. Wielka Loża postanowiła takie kwestje wnieść do dyskusji".

O wiele wcześniej jednak, bo już w 1910 r. na obchodzie 50-ciolecie loży „Schiller" prof. Misor mówił działalności wolnomularzy „w rodzinie, życiu zawodowem, gospodarczem i politycznem".

Otwarcie mówią pisma masońskie o politycznej działalności masonerji we Francji. „Tam, gdzie masonerja jest czynna politycznie", przytacza znowu dr. Hergeth ustęp mowy, drukowanej w „*W. Fr. Zg.*", „nie pracuje ona w ciemnościach, francuscy wolnomularze dali jak najszerszy rozgłos swoim zamiarom i część ich postanowień znana jest i profanom". Brat Leopold Wolfgang umieścił w 1924 r. w „*Latomii*" (rocznik 47 str. 9) garść szczegółów, dotyczących politycznej działalności masonerji we Francji, niezmiernie interesujących. Oto dosłownie powtórzony ustęp z owego artykułu:

„W 1898 r. Francja była jeszcze poruszona sprawą Dreyfusa. Podczas tej sprawy okazało się, jak potężny jest tu jeszcze klerykalizm i jak niebezpieczny dla Republiki. Nikt nie zdał sobie z tego tak sprawy, jak masonerja to też postanowiła ona urzeczywistnić swój dawny program, a mianowicie rozdział Kościoła od Państwa. Loże, stojące blisko ministerstwa Waldeck-Rousseau i Combesa przeprowadziły to szczęśliwie po długich walkach.

Francuscy wolnomularze życzyli sobie, aby w wojsku oddani obecnemu rządowi oficerowie nie mieli przeszkód w awansowaniu z powodu swoich przekonań politycznych. Wówczas wpadli na niezbyt szczęśliwy pomysł zestawiania list nierepublikańskich oficerów i nadzorowania ich

*) Por. art. „Masonerja austrjacka i jej stosunek do „Żydów" w Nr. 35 „Myśli Narodowej".

działalności poza służbą. Działalność ta, przez niesumienność urzędnika Wielkiego Wschodu Francji, została zdradzona kołom nacjonalistycznym francuskim za kilka tysiącfrankowych biletów. Wybuchnął wielki skandal, postępowanie Wielkiego Wschodu zostało, wewnątrz i zewnątrz parlamentu, jak najsurowiej potępione, i wiele jednostek z inteligencji zaczęło zwracać się do innych etycznych związków".

Trudno, czytając to, nie mieć w pamięci sprawy... „kartotek politycznych".

Nie można także uznać za hasło, nie mające związku z polityką, hasła pacyfizmu, stanowiącego dziś jądro programu politycznego lóż, co dr. Hergeth wielokrotnie stwierdza przy pomocy cytat. Autor przedstawiający stale masonerję jako narzędzie w ręku żydów, nie podnosi jednak kwestji, podkreślonej przez jednego z antyżydowskich niemieckich pisarzy, A. Rosenberga, jak dalece pacyfizm odpowiada w obecnej chwili interesom finansjery żydowskiej, która, zgromadziwszy w swojem ręku przez czas wojny wielkie kapitały, chce obecnie pokoju, aby móc je należycie oprocentować. O działalności w duchu interesów żydowskich świadczy natomiast większość przytaczanych przez niego odezw, wydawanych przez austrjacką masonerję w ostatnich czasach, jak np. odezwa przeciw pogromom na Ukrainie, odezwa o propagowaniu idei „Pan-Europy", „która wywoła zerwanie większości europejczyków z polityką narodowego szowinizmu", pismo w sprawie podróży Henri Barbusse'a do państw bałkańskich w interesie Rosji Sowieckiej i lewicowych radykałów, które „*Tag*" masoński nazwał „misją moralną" i t.p.

O tem, jak nie wszyscy masoni zdają sobie sprawę z działalności politycznej lóż, jak bardzo są zaskoczeni, gdy przypadek odkryje im w części ukryte siły, przenikające masonerję, świadczą przytoczone przez dr. Hergetha zeznania byłego brata, Pawła Köthnera, prywatnego docenta chemji w uniwersytecie berlińskim, który do marca 21 r. był członkiem Wielkiej Loży Niemieckiej i który, jak opowiada, jeszcze w latach 1911 — 1913 zrobił odkrycie, które przejęło go do najwyższego stopnia: że obok znanej masonerji istnieje inna, tej bezwzględnie wroga i że ta druga masonerja przygotowuje plany straszliwe. Dr. Köthner twierdzi, że w planach tej drugiej masonerji leżała i wojna światowa, i zburzenie tronu i ołtarza i nawet zamordowanie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Gdy jednak zwrócił się w tej kwestji najpierw do wielkiego mistrza, hr. Dohna i opowiedział mu, co słyszał, następnie do innych członków masonerji, wszędzie spotkał się z tem, że go nie chciano słuchać.

Masoni powtarzają często twierdzenie, że należą do wszystkich partyj politycznych, i że we wszystkich znaleść można masonów. Dr. Hergeth zaprzecza temu stanowczo. Znaleźć ich można w partjach „postępowych", „wolnomyślnych" i „idących z duchem czasu", duch zaś czasu, powiada dr. Hergeth wciela się tylko w te partje, na które żydzi mają mniejszy lub większy wpływ, które są przedstawicielami interesów żydowskich i są „wolne od nacjonalizmu i narodowego szowinizmu". Od każdego nacjonalizmu i od każdego szowinizmu?—zapytuje autor. Nie, nacjonalizm żydowski przeszkody bowiem nie stanowi i nietylko bracia należą do partyj syjonistycznych i są w nich przywódcami, ale nawet słowa nacjonalizm nie boją się i nie unikają, gdy chodzi o nacjonalizm żydowski („kto powiada żydowski, mówi: nacjonalistyczny żydowski", głosił „brat" Dawid Feuchtzwang, rabin i mason, dn. 29 list. 1918 r.). Masoni austrjaccy należą też po większej części albo do partji syjonistycznej, albo do socjal-demokratycznej.

Przed wojną, zwłaszcza od 1907 r., częściej niż dziś znajdowali się w Austrji w liberalnych partjach burżuazyjnych, stali niekiedy na ich czele i popierali je. Wskutek np. poparcia ze strony masonerji wszedł do parlamentu kroacki nacjonalista, Tresic—Pavicic, dzisiejszy poseł Jugosławji w Madrycie, dzięki któremu w czasie wojny „wydział rewolucyjny utorował sobie drogę do austrjackiej marynarki". Obecnie jednak partje burżuazyjne straciły w Austrji znaczenie i nastąpił odpływ i żydów i masonów z tych partyj do socjal-demokracji.

Natomiast w romańskich kajach partje socjalistyczne okazują niekiedy masonerji nieufność. Najsilniej wystąpił ten objaw we Włoszech, gdzie partja socjalistyczna powzięła postanowienie, iż taka podwójna organizacja socjalistów, we własnej partji i w masonerji, jest rzeczą niemożliwą i winna ustać. Jednakże bracia nie wzięli zbyt tragicznie tej uchwały, dość trudnej zresztą do przeprowadzenia wobec niemożności kontroli.

We Francji, i ze strony socjalistów, i ze strony wolnomularzy starano się o to, aby taka uchwała nie została powzięta. Albert Thomas np., który, jak twierdzą niektórzy, nie jest masonem, przemawiał przeciw takiej uchwale.

W Belgji socjalista Vanderwelde był w partji przedmiotem ataków z powodu należenia do masonerji. Tłumaczył się dobrem partji i w masonerji pozostał.

W Niemczech istnieje, jak wiadomo, najwięcej odcieni i systemów masonerji i tutaj to właśnie głosi się, że masoni należą do wszystkich partyj. Ale i tu nie należą w każdym razie do stronnictw wyraźnie antysemickich.

19.II.1925 r. brat Kulke, wybitny członek loży „Sokrates", mówił na posiedzeniu loży: „W polityce wolnomularstwo jest tem, co wpływa na bieg wypadków, posługując się partjami politycznemi o tyle, o ile i dopóki służą mu, jako środek do celu".

„W dzisiejszej konstelacji politycznej popieramy socjaldemokrację. Nie znaczy to bynajmniej, że każdy wolnomularz ma być socjaldemokratą. To znaczy tylko, że według swego programu Socjaldemokracja jest tą partją, która urzeczywistnia nasze drugorzędne cele i wprowadza je w życie społeczeństw".

To samo zupełnie, co o stosunku do partyj politycznych, da się powiedzieć o stosunku masonerji do rządów. Rządy posługują się masonerją w działalności politycznej. Już to samo, robi uwagę autor, wskazuje najlepiej, co sądzić o apolityczności lóż. Loże jednak, wówczas nawet, gdy dają się użyć za narzędzie, prowadzą zawsze swoją politykę. Oczywiście, powiada autor, może się niekiedy zdarzyć, że polityka lóż i polityka rządu znajdą się na jednej linji. W Austrji jednak, gdzie zaczęto posługiwać się łożami zwłaszcza od czasu wstąpienia na tron cesarza Karola, głównie za kanclerstwa Rennera, używano masonerji na szkodę interesów narodu.

Paryż MACIEJ WIERZBINA

HUMANISTA NA WYGNANIU

(LEON DAUDET) (Dokończenie)

II

ZWRACAŁEM już poprzednio uwagę na to, jak Daudet wyobraża sobie istotę twórczości wogóle; żeby teraz zdać sobie sprawę jak ją rozumie, gdy chodzi o twórczość literacką, musimy zejść na właściwy jej teren. Natchnienie („poczęcie") literackie, przynajmniej gdy chodzi o dzieła wielkie, o takie, które zostają i mają w przyszłości swoje dalsze ciągi, może być, podług niego, utożsamione z wstrząsem, dreszczem,który w ulegającym mu wprowadza w styczność dwojakiego rodzaju pamięć: ogólną i poszczególną. Każda koncepcja literacka, mająca wartość, jest pewnego rodzaju zapłodnieniem pamięci dziedzicznej, którą mamy po naszych przodkach, przez pamięć albo wzruszenie indywidualne.

Pamięć organiczna odziedziczona, będąca zarówno pamięcią intelektualną jak i uczuciową, przekazuje nam, pochodzące od przodków naszych, pewne stany umysłowe, pewne usposobienia i kierunki skłonności uczuciowych. Że tak jest, dość wniknąć głębiej w twórczość wielkich pisarzów. Każdy z nich posiada kilka tego rodzaju tematów uczuciowych i intelektualnych, które mają dla każdego szczególniejsze znaczenie, nurtują w nich, poniekąd bez ich wiedzy i woli, stają się przedmiotem ich stałych rozmyślań, są nieodłączne od ich miłości bądź nienawiści, od silnych afektów ich duszy. Wśród koncepcyj takich np. tworców jak Cervantes, Szekspir, Goethe, Balzac, Mistral i t. p., odnajdziemy zawsze te punkty stałe uczuciowo-intelektualne, te linje wytyczne, z których genjusz ich nie schodzi (w książce „*Etudes et milieux littéraires*" nie brak na to dowodów. Szekspir np., jak twierdzą niektórzy badacze, był przez całe życie zaprzątnięty ideą Hamleta i t. d.).

Dodajmy jeszcze do tego — co zostało niedostatecznie uwzględnione w studjach Daudeta, że sam ogrom spostrzeżeń, doświadczeń, pojęć i t. p. zawarty w ich dziełach świadczy, iż bez pamięci dziedzicznej, pamięć indywidualna, sama przez się, nie mogłaby ogromu tego ogarnąć i samodzielnie zdobytą treścią wypełnić. Balzac, zapytany raz przez kogoś, kiedy on oddaje się obserwacji, podobno odpowiedział: „jakżebym miał czas na obserwację, kiedy zaledwie mi go starczy na pisanie?" Wprawdzie niektórzy (np. M. Nordau i t. p.) zbyt pochopnie stąd wywnioskowali, że on wcale nie korzystał z osobistych spostrzeżeń, w tem jednak jego powiedzeniu zawarta była wielka prawda o przewadze pamięci dziedzicznej w jego twórczości. W ten sposób, jak Balzac, mógłby się wyrazić o sobie niejeden z wielkich twórców literackich.

Tem wszystkiem zajmuje się oddawna psychologja, uznająca wielką rolę w procesach twórczości pamięci dziedzicznej (u nas np. zajmował się tem ś. p. Abramowski), nie stanowi więc to, poza samodzielnością ujęcia, o oryginalności poglądów Daudeta w tej mierze. Bardziej oryginalny jest on w następujących wywodach dotyczących przedmiotu. Koncepcja literacka, powiada Daudet, jakimkolwiek jest poziom oraz wstrząs, jakiego doznaje sam twórca, dotyczy trojakiego rodzaju spraw życia. Stąd trzy główne kategorje twórców literackich. Więc nasampierw ci, co wyzyskują życie organiczne, jego instynkty, jego namiętności, genezę ich, cierpienia oraz rozkosze, złudzenia i rozczarowania, będące ich wynikiem. W tej kategorji wyróżnia autor w literaturze francuskiej Karola Baudelaire'a, jako niezrównanego pisarza, który wierszem i prozą wyrażał to życie organiczne w sposób potężny i ścisły zarazem. (Baudelaire'owi poświęca autor prześliczne studjum w tomie „*Les Pèlerins d'Emmaüs*", w którem wyznacza mu jedno z pierwszych miejsc w literaturze francuskiej).

W drugiej kategorji pisarzów umieszcza Daudet tych, którzy badają dziedzinę życia intelektualnego, nie zaniedbując oczywiście i życia organicznego, skoro bowiem ktoś tworzy powieści lub dramaty, nie może pozostawić na stronie tego, co jest najsilniejsze w uczuciach ludzkich, mianowicie uczucia miłości.

Chodzi tu jednak o tych, którzy poza malowidłami miłości poszukują reguł umysłu, a więc rzeczy, co w człowieku jest najmniej poznana przez niego samego, a która ze swej strony szuka czegoś, co rządzi temi regułami. Można więc twierdzić, że tego rodzaju pisarze biorą udział przedewszystkiem w życiu intelektualnem. Do nich zalicza Daudet Goethe'go, wielkiego prowansalczyka—Mistral'a, nawet Maeterlinck'a.

Wreszcie, wznosząc się coraz wyżej w dziedzinie koncepcyj literackich, w ostatniej kategorji odnajdziemy pisarzy, którzy sięgają życia duchowego, a wśród nich, między innymi, jeżeli chodzi o Francuzów, Pascal'a.

Dzieła literackie można, podług Daudeta, rozmieścić dokoła pewnej ilości tematów. W pierwszym wśród nich autor bada pośrednio siebie samego po przez szeroką kulturę ogólną. Jednym z wyjątkowych pomników podobnego badania własnej osobowości po przez wszelką wiedzę świata starożytnego są „Próby" („*Essais*") Montaigne'a. (Znakomite studjum poświęcone zostało Montaigne'owi w tomie „*Mélancholia*").

Jak wiadomo ten szczegółowy egzamin skończył się u Montaigne'a sceptycznem pytaniem: „*Que sais-je?*" Dzieło Montaigne'a natchnęło jednak pod wieloma względami „Myśli" Pascal'a, można więc powiedzieć, iż jest to odmiana „Prób" montaigne'owskich, wzniesiona tylko na wyżyny duchowe. Tak więc na jednym mniejwięcej planie mamy dwa arcydzieła, z których drugie jest bardziej syntetyczne od pierwszego.

Następnie, trzymając się innego tematu, idą dzieła pisarzów, którzy mówią bezpośrednio o samych sobie. W tej kategorji, wysuwają się odrazu na plan pierwszy „Wyznania" („*Confessions*") Rousseau'a. Są i w tym szeregu dzieł różne odmiany. Tak np. Goethe w swoich „Pamiętnikach" mówi również bezpośrednio o samym sobie, w przeciwstawieniu wszakże do „Wyznań" Rousseau'a usuwa ze zwierzeń swoich sprawy instynktu płciowego, nie pomijając wszakże życia uczuciowego.

O dziele Goethe'go Daudet powiada, iż jest to jeden ze szczytów umysłu ludzkiego, jedno z wielkich pouczeń o cywilizacji, która chce nią pozostać, nie jest to wszakże dzieło, w którem ktokolwiek mógłby znaleźć najmniejszy pretekst do buntu oraz nierządu duchowego.

W tym samym rzędzie dzieł literackich umieszcza jeszcze Daudet i te, w których autor rozprawia o swoim własnym umyśle. Przykładem może być „Rozprawa o Metodzie" („*Discours sur la Méthode*") Descartes'a. Jest to niewątpliwie jeden z najznamienniejszych dokumentów literackich i filozoficznych umysłu francuskiego, który zresztą i w życiu umysłowem innych narodów odezwał się głośnem echem.

Tak więc mamy dwie zasadnicze formy i kategorje koncepcji literackiej i filozoficznej: jedna—obserwacji lirycznej, druga medytacji, niekiedy marzyciel-

skiej, jak u poetów pewnego typu, albo surowej, ścisłej, fizjologicznej, jak np. u Claude Bernard'a, ograniczonej przez fatalizm, nazwany determinizmem; bądź też wznoszącej się ku metafizycznym wyżynom (Malebranche, Maine de Biran i t. p.).

Natchnienie, wstrząs twórczy, zapłodnienie jednej pamięci przez drugą w ten lub inny sposób—to jeszcze nie wszystko, co jest potrzebne, by koncepcja literacka była żywotna i zapewniła dziełu długowieczność.

Natchnienie wymaga dobrze uprawionego terenu, na którym mogłoby należycie się rozwinąć i wydać zdrowe oraz piękne owoce. Terenem jest sam twórca, a jego dobra uprawa zależy, podług Daudeta, od jego ogólnej kultury, która jest wynikiem studjów humanistycznych.

Zdaniem autora potęga twórcza oraz dar ładu i panowania nad przedmiotem, u każdego pisarza, poety, historyka, filozofa, są proporcjonalne do rozległości jego kultury klasycznej, grecko-łacińskiej.

Licznemi przykładami, zaczerpniętemi nietylko z literatury francuskiej, popiera Daudet powyższy pogląd. W literaturze, jak zresztą we wszystkiem — powiada—jest się wolnym tylko wówczas, gdy przestrzega się pewnej dyscypliny, pewnych przepisów prawa, wyzwalanie się od nich jest niczem innem, jak tylko bełkotaniem i wykpiwaniem się.

Daudet wyszczególnia wszelkie dobrodziejstwa, jakie spływają na tych twórców literackich, którzy przeniknięci duchem kultury klasycznej, są w zgodzie z jej dyscypliną, z jej doświadczeniem oraz tradycyjną wiedzą. Nie zmniejszając ich polotu twórczego, jeśli go wogóle mają, daje ona im, oprócz hartownych narzędzi pracy, wyraźność celu do osiągnięcia, świadomość dróg, które prowadzą do niego.

W studjach o „Plejadzie" Ronsardowskiej i „Felibrach" (Mistral, Aubanel, Roumanille i t. p.) — plejadzie prowansalskiej — którzy byli także wskrzesicielami ducha łacińskiego w literaturze, wykazuje, iż twórcy tego typu odegrali o wiele dobroczynniejszą rolę w dziejach literackich Francji, niż np. romantycy oraz ich następcy, którzy sprzeniewierzali się duchowi łacińskości. „Wiem"—powiada Daudet—„czego chciała „Plejada". Powiedziałem czego chcieli Felibrzy; nie potrafiłbym wszakże powiedzieć — i najpewniej nikt tego nie potrafi — czego właściwie chcieli romantycy. Widzę szereg hałaśliwych wystąpień i protestów; widzę postawy wspaniałe, teetralne i paradoksalne; słyszę sporo pieśni dźwięcznych. Widzę wiele kreacyj dramatycznych, świetnych bądź słabych, widzę również potężne kreacje liryczne, zanadto jednak wyciągnięte, a przez to bezładne i nużące. „Jezioro" Lamartine'a, jeden z najsławniejszych utworów romantyzmu, ma co najmniej, pięć strof za wiele, pięć strof konwencjonalnych, dekoracyjnych. I tak jest wszędzie". („*Etudes et milieux littéraires*").

Mistral powiadał: „Zmarli ci, co budowali, ale świątynia została zbudowana"! Tego o sobie nie mogliby powiedzieć romantycy—zdaniem Daudeta. Jaką świątynię, poza dziełem osobistem, gdzie celebrują jego fetyszyści, wzniósł np. W. Hugo? Nie stawia on sobie wyraźnego celu, nie opiera się na żadnej erudycji; jaki jest jego dorobek lingwistyczny, intelektualny i t. p.? — trudno byłoby powiedzieć. Plejada romantyczna tak samo się przedstawia. Dużo tu barwy i dźwięków fanfary, dużo nawet pięknych wierszy, w których barok łączy się ze wzniosłością, do czego jednak dąży ta nawałnica sztuczna, jaką pracę użyteczną, mądrą, wyraźną chce wykonać — trudno wyrozumieć. Brak tu ludziom wspólnej intencji oraz celu. „Żeby mieć coś do powiedzenia, trzeba mieć coś do zrobienia", a właśnie plejada romantyczna nie miała czegoś takiego, coby wspólnie chciała zrobić. Był to zespół ludzi wysoce utalentowanych, obdarzonych potęgą słowa, a każdy z pomiędzy nich szedł swoją drogą, słuchając swojej fantazji, czy swego kaprysu.

Twórczość ich nie wspierała się należycie na dorobku kulturalnym, osiągniętym i przekazanym przez szereg pokoleń, kształtujących od wieków ducha swego na podstawie ogólnej kultury grecko-łacińskiej. Zbaczali wciąż z jej dróg w mniemaniu, że staną się odkrywcami rzeczy nowych, nie licząc się z prawdą, iż nie wynajduje się niczego takiego, coby nie było jakąś tradycją, jakiemś dziedzictwem.

Stąd więc na dzieła ich nie spłynęły dobrodziejstwa tej zaniedbanej kultury, jakiemi odznacza ona swoich wiernych. Wagą pięknego słowa, jasnością myśli, intensywnością wyrazu uczuć, logiką zdania, harmonją konstrukcji, szlachetną wreszcie prostotą postawy—przewyższają ich ci ostatni. O ich mistrzach można nadto powiedzieć, że jakimkolwiek był wzlot ich wyobraźni, jakiemikolwiek porywy ich namiętności, czy w ten lub inny sposób sądzili o świecie, o życiu lub śmierci, nigdy nie opuszczało ich żywe poczucie rzeczywistości, czego wynikiem było, iż nietylko zastanawiali się nad odwiecznemi prawami rządzącemi społeczeństwem, rodziną, nietylko rozważali rolę obywatela w państwie, moc ustaw oraz ich poniżenie, lecz i szanowali to wszystko. Tego o tamtych nie dałoby się powiedzieć.

Podobnie jak Goethe i wielu innych, twórczość literacką uważa Daudet jako „wyzwolenie", jako uwalnianie demonów oraz widm, zamieszkujących tajemne komórki naszego umysłu, dodając, iż jest to uwalnianie przedewszystkiem widm naszych przodków.

Wbrew H. Taine'owi, który widział w pisarzu-twórcy wytwór jego środowiska oraz okoliczności, Daudet zapatruje się na niego jak na ostatnie ogniwo łańcucha dziedzicznego, jak na bohatera, w znaczeniu człowieka reprezentatywnego, który piórem i słowem wyzwala widma swych przodków. On przeciwstawia się i walczy. Doborem wyrazów i jakością słowa, walczy z marzycielstwem nieokreślonem własnego umysłu; walczy z naturą, naciskającą na człowieka z zewnątrz i wewnątrz, t. j. z rozkiełznanemi instynktami; walczy wreszcie z fatalnością oraz z przejęciem się śmiercią, która jest wielkim niepokojem człowieczeństwa.

Walce tej—i jej odbiciu w literaturze—najwyższy stopień wzniosłości nadał dopiero humanizm świata chrześcijańskiego, przez wyzyskanie odczutych i poznanych sił duszy ludzkiej oraz otwarcie przed nią widoków zbawienia — humanizm bowiem świata starożytności klasycznej ograniczał siły duchowe człowieka pojęciem fatalizmu i opierał się w walce z naturą przedewszystkiem na sile intelektu, na potędze rozumu.

Chrześcijanizm wzbogacił człowieka, borykającego się z naturą w sobie i dokoła siebie, nową siłą, metodę wszakże walki oraz dyscyplinę sił otrzymał on w dziedzictwie od świata starożytności klasycznej.

Uwalniając się od tego dziedzictwa, zaniedbując go, zmniejsza skuteczność swej walki ustawicznej, siły własne rozprasza i wypacza, obniżając w ten sposób poziom swego humanizmu.

Z cierpką nieraz myślą o tem, że tak się dzieje obecnie w jego własnej ojczyźnie, w tej Francji, która najtrwalsze i najpiękniejsze kwiaty oraz najzdrowsze owoce swej twórczości zawdzięcza dziedzictwu kulturalnemu świata starożytnego — rozważa to wszystko na wygnaniu Leon Daudet—bezsprzecznie jeden z najprawdziwszych humanistów nowożytnych.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

LIBERUM VETO

Potwarz jako broń.—Zniesławienie Deotymy.—W niewoli i niepodległości.—Co my mówimy o sobie i co inne narody mówią o nas.

POTWARZ należy do arsenału wojennego i jest tak samo bronią, jak karabin, armata lub pałasz. Używana jest głównie w starciach wewnętrznych, chociaż bywa stosowana i w zewnętrznych. Nie stanowi ona produktu jedynie ludzi złych z natury, lecz głównie objaw życia zbiorowego na niskim poziomie kultury, wyjałowionego z pierwiastków duchowych wyższego rzędu. Jeżeli najbujniej krzewi się w dolnych warstwach społecznych, to nie dlatego tylko, że wyrasta w ich ciemnocie umysłowej i rozdrażnieniu ubóstwem, lecz także dlatego, że warstwy te są odsunięte od zadań i zagadnień poważniejszych, obejmujących sprawy ogólne. Prostaczka wiejska zwykle plotkuje, kłamie, obmawia i zniesławia wszystkich współmieszkańców nie skutkiem złości, lecz skutzacieśnienia swych myśli i uczuć do małego krążka przedmiotów osobistych i domowych, pochłaniających całą jej uwagę. Nie ma ona w całem życiu swojem ani jednej chwili, w którejby pomyślała o sprawach ogólnych i zapomniała o własnych. Działa w niej wyłącznie egoizm jednostkowy i rodzinny, który nigdy się nie nasyca i nie przebiera w środkach.

Podczas niewoli byliśmy w znacznej części odsunięci od uczestnictwa w sprawach ogólnych i skazani na osobisto-rodzinne. To też złośliwość wpuszczała swoje jady w opinję społeczną wszystkiemi porami. Zwłaszcza posądzenia o zdradę polityczną, szpiegostwo, usługiwanie rządowi roiły się w powietrzu jak żądlące owady i rzadko kto uniknął ich ukłóć. Powoli czas wyjmował te żądła, goił po nich rany i przywracał skrzywdzonym ich niewinność. Między innemi ofiarami potwarzy uległa jej Deotyma. Pobierała ona pensję rządową jako spadek emerytalny po swym ojcu szambelanie, była na przyjęciu w Zamku, podobno nakłoniona przez Wielopolskiego i dla odparcia podejrzenia o zakazaną działalność w swem „państwie poetyckiem" prosiła na jedno z zebrań wieczornych hr. Berga. Być może, iż surowy sąd patrjotyczny nie uwolniłby jej zupełnie od zarzutu korzystania z łaski carskiej i zbytecznego lojalizmu wobec namiestnika, ale od tych potknięć i nietaktów do zdrady i wysługiwania się rządowi rosyjskiemu jeszcze bardzo daleko. Tymczasem tę odległość przeskoczył złośliwie i lekkomyślnie w swym pamiętniku poeta Felicjan (Faleński), który wbrew przysłowiu francuskiemu, że „w domu powieszonego nie mówi się o stryczku", skwapliwie chwytał i piętnował rzeczywiste i urojone winy cudze, zapominając o zbrodni własnego ojca, który jako członek komisji śledczej Nowosilcowa był sprawcą cierpień i śmierci wielu naszych męczenników politycznych. Wyjaśnił to dowodnie zasłużony historyk, któremu zawdzięczamy długi szereg cennych opracowań i odkryć archiwalnych z dwóch ostatnich stuleci, A. Kraushar w świeżo wydanej książce p. t. „Polki twórcze czasów nowszych".

Ten przykład posiada nie tylko historyczne, ale i obecne znaczenie jako przyczynek do psychologji oszczerstwa. Po odzyskaniu niepodległości i możności zupełnego ujawnienia działań obywatelskich, zdawało się, że rozrosły w podziemiach grzyb potwarzy zniknie lub ograniczy się do drobnych uszkodzeń naszego społecznego domu. Tymczasem przybrał ogromne i niepokojące rozmiary. Dlaczego?

Weszliśmy do wskrzeszonego państwa nieprzygotowani i nieprzyzwyczajeni do zajmowania się polityką twórczą, kształtowaniem jego ustroju wewnętrznego i stosunków zewnętrznych. Pracowaliśmy myślą i czynem w dziedzinie literatury, sztuki, przemysłu, handlu i na innych polach społecznych, ale to pola—mówiąc językiem rolniczym—szachownicowe, niepołączone, niescałkowane w jeden obszar, który istnieje tylko w niezależnem państwie. Związane z niem myśli, uczucia, zamiary, przedsięwzięcia były nam albo odjęte, albo zakazane, naród żył i działał — rzec można — prywatnie. To też gdy odzyskał niepodległość, nie przystąpił do tworzenia swego życia całą masą, lecz cząstką, gromadą pełnomocników, zastępców, wyręczycieli i samozwańców. Ta gromada zmieniała kilkakrotnie swój skład; wreszcie skurczyła się do małej brygady, która zupełnie odsunęła naród od udziału w twórczości państwowej i zamknęła ją w swojej woli i władzy. Dziś Polska jest organizacją publiczno-prywatną, rządzoną autokratycznie pod rządem demokratycznym. Demokratyzm jest w niej znakiem fabrycznym, pod którym jest ona zapisana w regestrze międzynarodowym i który z jej ustrojem faktycznym ma taki związek, jak np. jeleń wyobrażony na mydle z mydłem. Najgłówniejszą cechą tej fabryki czy tego folwarku, jest zupełne usunięcie służby od udziału w administracji, sprawowanej przez właściciela i jego oficjalistów. Gdy państwo jest zorganizowane jako monarchja absolutna, społeczeństwo nie wtrąca się do jego rządu, słucha tylko woli panującego i jego pełnomocników i zajmuje się swojemi sprawami prywatnemi. Ale gdy państwo jest zorganizowane demokratycznie, a włada niem jedna despotyczna wola i jej posługacze, społeczeństwo, upoważnione do tego nominalnie, wciska się swoją opinją w sprawy publiczne, a nie mając na nie wpływu, osnuwa je pajęczyną domysłów, pogłosek, anegdot i oszczerstw.

Są to obrazki haftowane na kanwie tajemnic nićmi rozmaitych barw, przeważnie ciemnej. Trzebaby chyba sięgnąć do dziejów tyranij wschodnich, despotyzmu królów francuskich lub samowoli możnowładców włoskich, ażeby znaleźć tyle tajemniczych osłon, tyle sekretów, tyle zagadek, niespodzianek, tyle gęstego mroku, w którym słychać stłumiony ruch maszyny państwowej, ile go widzimy u nas. Ale społeczeństwo, obdarzone demokratycznem prawem udziału i kontroli, usiłuje ten mrok przeniknąć, a nie mogąc zeń niczego wydobyć wzrokiem, wydobywa fantazją, przyczem rozdziera się na strzępy partyjne, na grupy rozdrażnione, pokłócone, nienawistne, walczące między sobą złośliwością, zniewagą i potwarzą. Niech nam najuczeńsi historycy odpowiedzą, czy zdarzyło się kiedykolwiek w dziejach, ażeby najsurowszy i najbardziej rozgniewany władca łżył swój naród i jego przedstawicieli najobelżywszemi wyrazami? Czy gdziekolwiek i kiedykolwiek w mowach publicznych posługiwano się językiem, którego słownik używany był dotychczas tylko w rozmowach bardzo dyskretnych lub brutalnych? Tym przykładem uprawnione i ośmielone zostało chamstwo w myślach, czynach i słowach publicznych. Drukują się dziś w prasie wyrażenia tak plugawe, że splamiony niemi papier, gdyby miał świadomość, spaliłby się ze wstydu. Kogo i czego nie zbezczeszczono? Unurzano w błocie ministrów, generałów, posłów, działaczów społecznych i politycznych, zasłużonych obywateli, poważnych pisarzów, wreszcie cały naród. Żyjemy w atmosferze smrodu słów, kryminalności oskarżeń, niewiary w uczciwość i rozum, pomieszania prawdy z fałszem, cnoty z występkiem, dusimy się z braku świeżego powietrza, błądzimy w ciemności, drżymy

w ciągłej obawie. Do przewinień rzeczywistych dołączane są ciągle zmyślone, obok istotnych winowajców przesuwają się skuci wspólnemi kajdanami ludzie niewinni, przez złość napiętnowani, odsłaniający przed sądami swoje krzywdy. To ma być mądrość, budowanie państwa, nadawanie mu siły wewnętrznej i powagi zewnętrznej? To ma nas zabezpieczyć od unieważnienia traktatu, który nam dał niepodległość i od uszczuplenia kwestjonowanych granic, od napaści i ponownego rozbioru? Prasa zagraniczna, która nam sprzyja lub chciałaby sprzyjać, jest przyzwyczajona do dyplomatyzowania, do owijania swej opinji w wyrażenia wstrzemięźliwe, ulegamy przeto złudzeniu, że nas ceni i szanuje. Ale gdy z gładkich jej słów wyłuskamy ziarna prawdy, okazuje się ich gorycz, która potwierdza się lekceważeniem naszego udziału w stosunkach i obradach międzynarodowych. Nie łudźmy się, jesteśmy w oczach Europy małością i słabością jak to nam dano świeżo do zrozumienia na konferencjach w Hadze. I nie miejmy za to do nikogo pretensji. Naród, który do swego bezładu i bezprawia dołącza własną potwarz, który z wysokiego stanowiska jest nazwany „narodem idjotów", jego przedstawiciele gromadą „ladaczników", jego wyrzuceni z nawy państwowej sternicy „szajką złodziejów", który sam się oczernia, znieważa, pohańbia w najważniejszych instytucjach i osobach, nie może rościć sobie prawa do uznania ani wrogów, których ma coraz więcej, ani przyjaciół, których ma coraz mniej. Potwarz zakryła całą jego wartość. I ona ma odwagę nazywać się patrjotyzmem? Oszalała!

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

DYWAN WILANOWSKI

WŁAŚCICIEL Wilanowa, Adam hr. Branicki, usiłował sprzedać Anglikom jedną z historycznych pamiątek po Janie Sobieskim, zdobyty na Turkach dywan perski z XVI wieku. Rząd polski na szczęście dowiedział się o tym zamiarze w porę, sprzeciwił się wywiezieniu zabytku z kraju i korzystając z prawa pierwokupu polecił wojewodzie Twardo wypłacić hrabiemu Branickiemu osiemset tysięcy złotych, t. j. tyle, ile za dywan dawali cudzoziemcy. Tym razem obyło się nawet bez wyłożenia ze strony Państwa grosza gotówki, okazało się bowiem, iż zaległości podatkowe hr. Branickiego przewyższają wyżej wymienioną sumę.

Pamiątka szczęśliwie ocalała. Ale co będzie dalej? Pan Branicki posiada inne kobierce, makaty, obrazy, sprzęty po Janie III-cim. Za kilka miesięcy może znowu potrzebować pieniędzy, a usłużni finansiści zagraniczni mogą mu zaproponować bajeczne tranzakcje. Czy Rząd polski stać na wykupywanie każdego krzesła wilanowskiego po kolei? Czy nie wypadłoby taniej kupić zabytki owe hurtem?

Hr. Branicki, jeden z najbogatszych magnatów, zaniedbuje konserwację Wilanowa w sposób tak skandaliczny, że na najbliższej sesji sejmowej wartoby tę sprawę poruszyć. Wilanów nie jest przecież zwykłym pałacem magnackim, jest on pamiątką historyczną, której losy obchodzą i obchodzić muszą najżywiej cały naród. Jeżeli obecni właściciele nie rozumieją tego i ze skarbem powierzonym sobie nie postępują w sposób należyty, konieczne stanie się rychłe przejście Wilanowa na własność Państwa, czy to drogą dobrowolnej sprzedaży, czy drogą wywłaszczenia.

Zbiór pamiątek po zwycięzcy z pod Wiednia nie może być roztrwoniony.

G.

K. K. (KONSERWATYŚCI KLANOWI)

(Przyczynki do charakterystyki typu)

I

WIEDEŃ wiele dobrego zrobił u nas od stu lat swoim przykładem, o, bardzo wiele! Zaczął od tego, że ludzi możniejszych nauczył się płaszczyć, ubiegać za orderami, tytułami, szambelańskiemi kluczami, słowem wielu z nich pozbawił godności, godności swoje im ofiarując. Potem stworzył u nas rodzaj ludzi nieznośny, rodzaj wiedeńczyków *in partibus Polonorum*, dandysów niby, ale dandysów w złym gatunku, podobniejszych do kelnera, dżokieja lub perukarza, niż do człowieka z wielkiego świata...; swoją ojczyznę wzbogacił zaś i uszczęśliwił (ten gatunek) nowym nabytkiem, typem nigdy przedtem nie widzianym galicyjskiego hrabiego, typem komicznym, którego charakterystycznemi cechami są: fanfaronada bez granic, elegancja fałszywa i przesadna w układzie, w ubiorze i w mowie... Typ tak w całej Polsce znany i wyśmiany, że każdy, kto stąd przyjedzie do Warszawy czy do Wilna, do Poznania czy do Berdyczowa, zawsze musi spotkać się z uprzedzeniem i, jeżeli chce być uważanym za człowieka, przedewszystkiem przekonać,... że nie jest galicyjskim hrabią.

Stanisław Tarnowski

II

Owa dążność zbawienna wydobywania sił narodowych wewnętrznem a zbiorowem ciągłem wysileniem, popierana w klasie obywatelskiej i miejskiej tak ogólnie, doznaje przecież oporu w dwóch, że tak powiem, obozach, na pierwszy rzut oka, bardzo od siebie odległych... Obrzuca nas klątwami cała partja rewolucyjna...; z pogardliwem szyderstwem wyrzeka się udziału w naszych pracach większa część imion historycznych, czyli tak zwani panowie. Dziwne to napozór i może mimowolne zetknięcie, chociaż, dla bystrzejszego oka, ani nowe ani niespodziane. Historyk znalazłby w niem może klucz do zrozumienia wielu naszych bezkrólewiów, wielu nieszczęść w epoce rozbiorowej i Wielkiego Sejmu, wielu zawodów i rozprzężeń w ostatniem ćwierćwieczu!... Czem może być w istocie rozumna, polityczna arystokracja, jaką siłą w dźwiganiu i rozwijaniu wewnętrznych żywiołów, w pielęgnowaniu dawnych tradycyj, jakim zastępem ku odpieraniu nieprzyjacielskiej przemocy: tego dowodzą i państwa potężne jak Anglja i narody dobijające się samoistnego życia, jak Włosi i Magyary. Lecz takiej arystokracji, związanej z sobą nietylko rodzinnym, ale politycznym węzłem, takiego szeregu ludzi możnych i rozumnych, wspierających się nawzajem i sumujących swe zasoby i działania w jedną, publiczną potęgę—wyznajmy z bolem—nie mieliśmy nigdy i czy kiedykolwiek mieć będziemy, przy braku zupełnym politycznego instynktu, wątpić doprawdy należy.

Juljan Klaczko

podał KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

„BEZPŁATNY" UNIWERSYTET, DOSTĘPNY TYLKO DLA BOGATYCH

Gdyby jakiś nowszy Montesquieu chciał napisać „Listy Perskie" z Polski, powinienby zacząć od uniwersytetów, aby wykazać nasze niedorzeczności. „Nauka jest bezpłatna". Ale za to wymyślono najrozmaitsze inne tytuły i cele, za które pobiera się wygórowane opłaty. Na jednej wyższej uczelni studenci musieli nawet płacić na mieszkaniową spółdzielnię profesorów. I palestranckie sumienie naszych prawników było spokojne, ponieważ nie była to opłata, zapisywana w rubryce „za naukę". Takiej rubryki nawet nie było.

Wymyślono więc rozmaite opłaty, przenoszące setki złotych, a ponadto wprowadzono pół tuzina rozmaitych egzaminów, ażeby pod ich pretekstem ściągać coraz nowe pieniądze jako taksy egzaminacyjne. Są to t. zw. magisterstwa, bez których uzyskania nie można składać egzaminów państwowych.

Przymus składania tuzina egzaminów w ciągu czteroletnich studjów pociąga za sobą konieczność ciągłego bębnienia rozlicznych przedmiotów. Wskutek tego student uniwersytetu, jeżeli chce ukończyć fakultet, nie może zarabiać lekcjami na życie i opłaty szkolne. Musi mieć pieniądze własne. Siłą rzeczy zatem człowiek ubogi z trudem może uczęszczać na uniwersytet. Piękna tradycja średniowiecznego żaka z garnuszkiem, czy późniejszego młodzieńca z poddasza, który o własnych siłach przebijał się przez życie i nieraz dochodził do wysokich godności za własną zdolność, zostaje przerwana. Ubogi rzadko potrafi skończyć uniwersytet. Prawda, że istnieją jeszcze stypendja. Ale są to pożyczki, nie bezzwrotne zapomogi dla odznaczających się uczniów. I jeżeli taki biedak otrzyma owo stypendjum, to przebrnąwszy przez morze egzaminów, przecisnąwszy się przez kilka lat bezpłatnej praktyki lub aplikantury, kiedy dostanie stanowisko na kilkaset złotych miesięcznie, musi przez szereg lat spłacać to stypendjum. Otrzymuje pensję głodomora i z tej jeszcze potrąca mu się część, aby jej nigdy nie najadł się do syta i ażeby już nigdy nie podźwignął się z nędzy. To wszystko za karę, że jako ubogi ośmielił się szukać nauki i z nauką chleba. Nauka bowiem faktycznie jest tylko dla bogatych. A ten fakt rzeczywistości jest najzłośliwszą ironją na „postępowy" frazes, umieszczony w Konstytucji. Byli niegdyś poddani *„glebae adscripti"*, dzisiejszy system stwarza nową kategorję ludzi, przykutych do wieczystej nędzy: *„miseriae adscripti"*. Taki początkujący funkcjonarjusz, obciążony przez kilka lat przymusem zwracania stypendyjnych pożyczek, nieraz zostaje nędzarzem, mimo nawet późniejszych awansów, bo przez czas wieloletniego przymierania głodem na uniwersytecie i po uniwersytecie, nabędzie tylu chorób neurastenicznych i żołądkowych, że potem wszystkie nadwyżki awansowe wyda na leczenie się i będzie musiał zaciągać nowe długi. A jeżeli taki się ożeni i założy rodzinę, przepadł na wieki, o ile nie ma dostępu do łapówek lub innych nadużyć. Możnaby ten system określić jako nędzę ludzi studjujących, uzupełnianą czasami przez nadużycia i łapówki. Gdyby dzisiaj Stefan Batory upatrzył w szkole obiecującego młodzieńca, mógłby tylko powiedzieć: *Disce puer, faciam te* bezpłatnym aplikantem, a potem głodomorem.

Skutki tego systemu jeszcze się dzisiaj nie rzucają w oczy. Z czasów przedwojennych zostało wielu funkcjonarjuszy, którzy mają wiele lat służby i wskutek tego mogą jeszcze powiązać koniec z końcem; a z czasów wojny i początku państwa polskiego pozostało wielu z domowem wykształceniem i z uproszczonemi egzaminami. Kiedy wymrą ci szczęśliwcy, kiedy służba publiczna zostanie zapełniona przez obciążonych magistrów, okaże się brak ludzi do funkcyj publicznych, mimo że dziesiątki tysięcy chodzą na uniwersytet, a ci nieliczni fachowcy, którzy wstąpią do służby państwowej, będą nieraz mimo egzaminów, szkodliwymi partaczami lub korrupcjonistami. Wymagania życia są bowiem mocniejsze, niż wszystkie frazesy, hasła i przepisy.

Dlaczego tak się dzieje?

Wydaje mi się, że poza frazesem jest jedna główna przyczyna: zrobić w Polsce wszystko inaczej, niż było w Rosji, Austrji i Niemczech. Zapomina się o jednem, mianowicie, że urządzenia szkolne w państwach zaborczych były robione dla całych państw, dla własnych obywateli, z myślą o jaknajwiększym pożytku i że nie można odrzucać ich dlatego tylko, że rosyjskie lub niemieckie. Tamte urządzenia były celowe, a długie doświadczenie poczyniło w nich wiele pożytecznych zmian i poprawek. To, że owe urządzenia bywały złośliwe i przewrotnie stosowane do podbitych Polaków, nie dowodzi, jakoby same w sobie, w zastosowaniu do własnych obywateli niemieckich czy rosyjskich miały być fałszywemi. A więc rozum nakazywał zatrzymać z tych urządzeń wszystko, co w nich było celowe, wypróbowane i pożyteczne. Wprowadzanie nowości po to tylko, aby była odmienna od rzeczy przeżytych czy przebytych, jest znowu lekkomyślnym pościgiem za frazesem, a nie trwałą budową na przyszłość.

Dziś uniwersytet jest tylko dla ludzi zamożnych. Biedak często straci na nim zdrowie i charakter, jeżeli się uprze mimo wszystko kończyć studja, a wyjdzie człowiekiem złamanym, czyli absolutnie niezdatnym do służby publicznej. A ponieważ wstąpi do służby publicznej, sprawy państwowe znajdą się w najnieodpowiedniejszych rękach.

Kiedy chłopom w dawnej Polsce zabroniono szkół i rzemiosł miejskich, Węgierski biadał:

> Może jaki Cycero lub Wergili nowy
> Miesza wapno i nosi cegły do budowy.

Dzisiejsze urządzenie „bezpłatnej" nauki na uczelniach wyższych znowuż uniemożliwi wielu talentom rozwinięcie się i przyniesienie pożytku społeczności.

Zapewne, niejeden z profesorów uniwersytetu zechce bronić dzisiejszych urządzeń i powoływać się na Francję. Będzie to jednak obrona bardzo łatwa do odparcia.

Przez dzisiejsze urządzenie uniwersytet przestaje być środowiskiem, pomnażającem i szerzącem naukę, a staje się zbiorowiskiem szkół fachowych czy zawodowych. W systemie niemieckim wydział filozoficzny tak w swojej części humanistycznej jak matematyczno-przyrodniczej był tylko wyższą uczelnią, szerzącą naukę i pomnażającą naukę. Student ciekawy miał możność nabycia prawdziwego, wyższego wykształcenia.

W Polsce przez wprowadzenie magisterstwa zamieniono i ten fakultet na pospolite seminarjum dla nauczycieli, bez troszczenia się o ich wykształcenie ogólniejsze. Opłaty każą liczącemu się z groszem studentowi wybierać tylko te wykłady, jakie są konieczne dla jego fachu. Brać kilkadziesiąt godzin wykładów tygodniowo, jak to robiono za moich uniwersyteckich czasów, jest niepodobieństwem, bo zawieleby kosztowało. A zresztą nie można się rozpraszać na rzeczy uboczne, bo po kilku miesiącach trzeba składać egzamin z pewnych przepisanych przedmiotów. To też lingwista, mimo że go ciekawość pali, nie weźmie już ani archeologji, ani historji sztuk plastycznych, czy muzyki, ani sanskrytu lub innych języków wschodnich, ani filozofji prawa czy bodaj

anatomji, ponieważ zamiast kształcenia się i rozszerzania horyzontów, musi odrobić swoje gramatyki greckie, starocerkiewne i inne do najbliższego egzaminu. A po tym egzaminie znowu za kilka miesiecy ma nastąpić drugi, po nim trzeci i t. d. Odrabia więc swoje zawodowe przedmioty i o innych myśleć nie może, tak ze względu na egzaminy, jak ze względu na ogromne opłaty.

Obrońcy dzisiejszego systemu zarzucą, że dawniej uczeń filozofji mógł przez 4 lata próżnować i często się marnował. Ubogi nie mógł próżnować, bo dla uzyskania uwolnienia od czesnego musiał składać tzw. *colloquia* co półrocze. Ale przy *colloquium* zdawał tylko z tego sprawę, co profesor istotnie wykładał, i przygotowanie się do takiego egzaminu nie wymagało wiele czasu, o ile student wykładów nie opuszczał. Dziś nie wiem, jak wygląda codzienne życie uniwersyteckie. Jeżeli jednak dajmy na to student musi złożyć egzamin z początków gramatyki greckiej, której w szkołach średnich nie uczą, to przypuszczam, że profesor klasyk nie wykłada corocznie tych właśnie początków, potrzebnych studentowi. Inaczej przestałby być profesorem, a zostałby gramofonem. Wynika stąd, że kandydat musi uczyć się rzeczy nowej, w którą go nikt nie wprowadza, z wielkim mozołem i stratą czasu według jakiegoś podręcznika. A jeżeli egzaminy można składać na podstawie podręczników, to po co są wykłady, a w dalszej konsekwencji, po co uniwersytety? Wystarczą autorowie podręczników i egzaminatorowie. Jeżeli więc kandydaci magisterscy muszą wybębnić rzeczy niesłyszane, nowe z martwych książek, muszą na to poświęcać bardzo wiele czasu i nie mogą zarabiać korepetycjami na życie, jak również nie mogą zapisywać się i słuchać przedmiotów, których przepisy nie wliczyły między przymusowe tematy egzaminacyjne. Mamy więc od jednego rzutu i ścieśnienie zainteresowań, które rozszerzają wykształcenie, i utrudnienie studentom ubogim kończenia uniwersytetu. Jeżeli na podstawie dawnego ustroju nie kończyło studjów filozoficznych 10 czy 15% imatrykulowanych, to dzisiaj z kilkuset zapisanych zdobywają magisterstwo jednostki tylko, a więc marnuje się napewno więcej. Opłakany rezultat tych zmian okaże się po kilkunastu latach.

I naprawdę trudno sobie wyobrazić bardziej niedorzeczne urządzenia. Społeczeństwo składa się z nędzarzy, frazes demokratyczny wstawił w Konstytucję nie postanowienie, ale hasło, że nauka jest bezpłatna, a życie wytworzyło stan faktyczny, wedle którego ten tylko, kto ma pieniądze, może korzystać z nauk uniwersyteckich. Gdyby ktoś wszczął akcję o wykreślenie tych ośmieszających i z życia drwiących słów w tekście Konstytucji, powstałby huczek w obronie tego frazesu, jak za czasów elekcyjnych ryczano o ochronę czterech źrenic wolności, *„pupillae libertatis“*. A gdyby ktoś zażądał zmian ustroju w uniwersytecie, zmierzających do umożliwienia studjów ubogim ludziom, spotka się niechybnie z biernym oporem czynników zainteresowanych. Nie tykać zdobyczy!

Zostaje więc znowu rozbieżność między prawem pisanem, a praktyką życia, między hasłem, a rzeczywistością — skutek zaś jest ten, że wszyscy nawykają do stanu rzeczy, w którym prawo istnieje po to, ażeby wiedzieć, czego nikt się nie trzyma. Reszta zaś układa się sama i „jakoś to będzie“.

Najgorzej zaś, że tego rodzaju bezprawną, bezradną i beznadziejną umysłowość wytwarzają państwowe zakłady wychowawcze i naukowe.

JAN ZAMORSKI

NAUKA I LITERATURA

KUPUJCIE WYROBY POLSKIE!

HASŁO Ligi Samowystarczalności Gospodarczej: „Kupujcie wyroby polskie!“ obowiązuje nietylko do nabywania polskich wyłącznie tkanin, pachnideł czy samochodów, do wyrzeczenia się dorobkiewiczowskiej nieco ambicji spędzania lata w skwarnej nieznośnie o tej porze Nicei czy Biarritz, zamiast rodzimej Gdyni, Worochty albo Zakopanego. W pewnym zakresie nakaz powyższy zastosować należy również i do dziedziny literackiej, nie obawiając się przytem bynajmniej jakiegokolwiek zacieśnienia swoich horyzontów duchowych przez dobrowolne odgradzanie się od źródeł myśli czy natchnienia poetyckiego, tryskających wśród obcych narodów. Tak więc np. nikt zapewne nie potrafiłby dopatrzeć się jakichś szkód czy niebezpieczeństw kulturalnych w pozbywaniu się zagranicznego importu w tym dziale literatury, w którym jest ona o wiele bardziej wytwórczością aniżeli twórczością, mianowicie w dziale t. zw. „powieści sensacyjnych“. Pocóż mamy używać Wallace'a? Posiadamy swojskie fabrykaty Marczyńskiego!

Typ powieści „sensacyjnej“, powieści, którą się czyta „dla odpoczynku“, „w wagonie kolejowym“, oficjalni przedstawiciele krytyki literackiej zbywają z reguły nieomal — pogardliwem milczeniem. A jednakże już ze względu na powodzenie powieści tego rodzaju, na ich ogromną poczytność, okazują się one w chwili obecnej zjawiskiem, bezsprzecznie zasługującem na uwagę: coprawda zjawisko powyższe o wiele żywiej zainteresować mogłoby socjologa i badacza obyczaju, niż poszukującego wzruszeń a r t y s t y c z n y c h — estetę. Dzisiejsza powieść „sensacyjna“ ma za zadanie, według znakomitego określenia Z. Wasilewskiego*) — zaspokojenie „głodu bajki“, potrzeby dowiedzenia się czegoś „interesującego“, a więc, z istoty swej potrzeby całkowicie p o z a e s t e t y c z n e j. Tejże samej potrzebie służą w prasie brukowej drobiazgowe, wieloszpaltowe opisy „tajemniczych przestępstw“ czy procesów, którym tyle miejsca i uwagi poświęca dziennik nie z tej racji wcale, iżby miały jakąkolwiek doniosłość w życiu zbiorowem, ale z tego prostego powodu, że są dla czytelników „zajmujące“. Mniejsza w tych warunkach o to nawet, czy perypetje bandy włamywaczy będą zmyślone czy prawdziwe: powieść czy raport policyjny posiadać mogą jednakową zupełnie wartość dla czytającego, jeżeli tylko t r e ś ć opowiedzianych zdarzeń potrafi pobudzić jego ciekawość.

Oczywiście, nie chodzi tutaj wcale, by w kilku zdaniach przedstawić całokształt zagadnienia tak złożonego jak zjawisko współczesnego „głodu bajki“: jego przyczyn, kwestji możności zaspokojenia go wyłącznie przy pomocy dzieł artystycznych, ani kwestji związanych z nim, często groźnych bardzo dla kultury niebezpieczeństw. Chodzi raczej o zwrócenie uwagi, że także i w dziedzinie „powieści sensacyjnej“ potrafimy wytwarzać rzeczy, nie ustępujące podobnej produkcji zagranicą.

Taką właśnie dobrą, w kraju wykonaną, sensacją dziennikarską w kształcie powieści jest ogłoszony przez „Wydawnictwo Polskie“ w Poznaniu „Związek Białej Tarczy“ pióra Stanisława Piaseckiego (tom I: „Na tropie knowań“, tom II: „W potrzasku“). P. Piasecki, redaktor jednego z poczytniejszych w Polsce dzienników, posiada niewątpliwie sekret zaciekawiania czytelników i posługuje się nim w sposób nader umiejętny. Niema w „Związku Białej Tarczy“ krzty poetyckiego wzruszenia, autor nawet nie żywił w tym kierunku najmniejszych ambicyj, ale jest zręczna, dobrze obmyślona fabuła, utrzymująca w napięciu zainteresowanie nieomal

*) Z. W a s i l e w s k i: „O sztuce i człowieku wiecznym“, Lwów, 1910, Rozdział pt. „Opowieść i poezja“.

od pierwszej stronicy powieści aż do ostatniej. Należy zaś dodać, że „Związek Białej Tarczy“ nie obraża nigdzie zmysłu moralnego czytelników, że spostrzega się w nim chwalebne staranie o poprawność języka, że ponadto cała akcja powieści toczy się w kraju, autor zaś opisuje środowiska, które zna dokładnie, co pozwala mu też czasami trafnym, dobrze zaobserwowanym szczegółem scharakteryzować np. ruch ideowy, decydujący dziś o nastrojach i poglądach politycznych młodego pokolenia.

A zatem, nie w imię umiłowania sztuki narodowej (to należy do innej zupełnie sfery zagadnień), ale w imię powszechnie obowiązującego hasła samowystarczalności gospodarczej: Wystrzegajcie się importu tadentnych powieści sensacyjnych z zagranicy! Kupujcie wyroby polskie!

R.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Dzieło Kazimierza Chłędowskiego: „Królowa Bona. Obrazy Czasu i Ludzi“. (Wyd. drugie, stron VIII + 210. Rycin 13. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie. Cena zł. 15) nie jest monografją historyczną w ścisłem tego słowa znaczeniu, ale sylwetą duchową jednej z najwybitniejszych indywidualności kobiecych, jakie się przez dzieje nasze przesunęły, sylwetą, skreśloną piórem niezrównanego znawcy epoki i środowiska. Wierność historyczną portretu Królowej Bony uwydatnia plastyka opowiadania, która przedstawiając każdy rys na tle sytuacji mistrzowsko odtworzonej, pozwala na swobodne obcowanie z ludźmi i faktami odległej epoki. I ta właśnie harmonja między powieściową formą opowiadania a ścisłością naukową nadaje tej książce nieprzemijającą wartość.

*

W „Bibljotece Laureatów Nobla“ (nakład „Wydawnictwa Polskiego“ R. Wegnera w Poznaniu) ukazała się powieść „Światło, które zgasło“ („*The light that failed*“), Rudyarda Kiplinga, z przedmową i w tłumaczeniu Józefa Birkenmajera. „Światło, które zgasło“ jest bezwzględnie jednem z najwspanialszych dzieł angielskiego pisarza, imponującem zawartą w niem siłą moralną, jak również potęgą uczucia, tem bardziej przejmującego, że wypowiadanego bez śladu retoryki czy patosu, z wytworną dyskrecją opanowanego, nieznoszącego wszelkiej „pozy tragicznej“, wszelkiej teatralności *gentleman*'a. Jest prawdziwą zasługą J. Birkenmajera, że po raz pierwszy oddał to dzieło do rąk polskich czytelników w sumiennym, bez skrótów, autoryzowanym przekładzie.

U SŁOWIAN

Pan Eugenjusz Rychlik, profesor Instytutu w Nieżynie wydał po małorusku studjum p.t. „Ukraińskie motywy w poezji Juljusza Słowackiego“. (Prof. *Ewgen Richlik „Ukrainśki motiwi w poezji Jula Słowackogo“*, *Nižin* 1929 *Derždrukarnia*). Praca ta, objętości 68 stron dużej ósemki, jest odbitką z „Zapisków Nieżyńskiego Instytutu oświecenia narodowego i katedry studjów naukowych nad historją kultury“. T. VIII i IX (1928—29).

Prof. Rychlik bardzo pracowicie i umiejętnie zanalizował Słowackiego metodę folklorystyczną według wątków barwy ukraińskiej, które się wplotły w poezję. W wyniku doszedł do szeregu wniosków: 1) Pierwiastek ukraiński w twórczości Słowackiego nie jest przypadkowy, znajduje się rozsypany wszędzie. 2) Poeta niewiele miał wrażeń bezpośrednio z Ukrainy. 3) Dobywały się te wątki ze wspomnień dzieciństwa i pod wpływem tęsknoty do kraju. 4) W podstawach ideologji ukraińskiej Słowackiego leżała tendencja nacjonalizmu szlacheckiego doprowadzenia do jedności polsko-ukraińskiej w celu odbudowy państwa polskiego. 5) Ukrainizm ten był przedewszystkiem literacki z tradycji szkoły poetyckiej. 6) Słowacki pożycza wątków od Zaleskiego i Gorczyńskiego, ale u niego zyskują na blasku. 7) Koncepcja ukraińska Słowackiego przebyła trzy fazy: idylliczno-romantyczną (za Zaleskim), tragiczno-romantyczną (Goszczyński) i mistyczno-mesjanistyczną (własna). 8) Ukraina Słowackiego przeważnie jest nierealna, z fantazji. 9) Ukrainy nowoczesnej, ze zmianami społeczno-ekonomicznemi, Słowacki nie znał.

Poważne studjum prof. Rychlika ma wartość dla historji literatury polskiej. Budzi przedewszystkiem refleksję, czy my sami nie przypisujemy Słowackiemu więcej ukraińskości, niż historycy kultury ukraińskiej.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Djabeł we współczesnej literaturze odgrywa raczej podrzędną rolę. Jeżeli zaś, od czasu do czasu, zostanie wysunięty na pierwsze miejsce, to jedynie pod formą symbolu. Do niego właśnie uciekł się p. Maurycy Magre w swojej ostatniej powieści „*Lucifer*“ (Albin Michel). Hr. de Saint-Aygulf, człowiek bardzo bogaty, po wesołej młodości zaczyna się interesować naukami metapsychicznemi. Pod ich to wpływem wyrzeka się poprzedniej egzystencji, wprowadza do domu swego córkę, jaką miał z jedną ze swych kochanek i powoli staje się obojętny na wszystko, co nie ma bezpośredniej styczności z metapsychicznemi zagadnieniami. Otacza się on całym szeregiem podejrzanych osobistości, które wraz z hr. de Saint-Aygulf pragną wskrzesić tradycję dawnych „*Esséniens*“. Jednakowoż ceremonje, jakie organizują czy to w Paryżu, czy też na Azurowem wybrzeżu przeradzają się raczej w rodzaj „czarnych mszy“, w czasie których zmysłowość ukrywa się pod postacią mistycyzmu. Pomiędzy osobami, biorącemi udział w tych uroczystościach, znajduje się kilka, które w młodości podpisały dla zabawy pakt z djabłem. Pod wpływem tych nienormalnych nastrojów, myśl o tym pakcie zaczyna jednego zwłaszcza z nich męczyć tak dalece, iż wydaje mu się, że jest zabawką Lucyfera. Wówczas ucieka z tego niezdrowego środowiska, uprowadzając zresztą ze sobą ową córkę naturalną hr. de Saint-Aygulf, Laurencję, podczas gdy druga oddaje się z namiętnością praktykom sekciarskim. Książkę czyta się z dużem zainteresowaniem.

*

Kilka miesięcy temu p. Jean Martet, były sekretarz wielkiego męża stanu Jerzego Clemenceau, wydał bardzo oryginalną powieść p. t. „*Marion des Neiges*“. Książka ta nawet miała poważne szanse do nagrody Goncourt'ów. P. Martet odtworzył w niej niezmiernie ciekawy świat poszukiwaczy złota w krainach Ameryki Półn. Rzecz ciekawa, że autor zupełnie ich nie zna. Wybrał on zatem tło wyłącznie imaginacyjne Może tego rodzaju fantazja potrzebna mu jest do oderwania się od codziennej pracy, dosyć jak dla powieściopisarza, zdawałoby się, niewdzięcznej, gdyż pełni on funkcje szefa Biura wyborczego w Ratuszu. W nowej zresztą swojej książce „*Gubbiah*“ (Albin Michel edit.) akcja toczy się również w tych samych krainach. W przeciwieństwie do bohatera „*Marion des Neiges*“, Gubbiah Quittsguard jest człowiekiem bez woli. Ten brak jego charakteru powoduje zresztą cały szereg katastrof. Przez niego cierpi jego żona i mały synek, gdyż Gubbiah jest zupełnie niezdolny do zarobienia na życie i roztoczenia nad nimi jakiejkolwiek opieki. Ma jednakże o sobie dość dobre pojęcie, chociaż od czasu do czasu, sam sobie oświadcza, iż do niczego nie jest zdolny. Z fabryki jednej jest wyrzucony, bo niedopilnowuje roboty, w drugiej powie córce właściciela, że jest brzydką; zaangażowany znowu jako drwal, powoduje pożar nietylko całego domu swego i swoich towarzyszy, ale i lasu. I Gubbiah nie rozumie, że nawet chcąc dobrze robić, robi źle. Raz jeszcze powróci do żony, gdzie nędza panuje. Gubbiah nauczył się jednakowoż u Indjan, którzy chorego pielęgnowali z pieczołowitością, rzeźbienia figurek z drzewa. Zdaje mu się już, iż jest artystą. Dostaje nawet zamówienie na wykonanie statuy jednej świętej. Gubbiah zakochuje się jednak w jakiejś cygance i ucieka z nią. Zabija potem swego rywala i wreszcie po różnych perypetjach ginie, wyczerpany, a za całun będzie miał grubą warstwę śniegu. Powieść czyta się z dużem przejęciem, gdyż autor umie wytworzyć nastrój, potrzebny do uwypuklenia charakteru swego bohatera. „Należysz do tych ludzi“, powie mu jego przyjaciel Indjanin, „którzy przywiązują jedynie wagę do rzeczy, jakie do tego świata nie należą... A to tem gorzej dla ciebie i dla twoich“.

*

Jan Cocteau, poeta-powieściopisarz, który w ostatnich latach bardzo mało tworzył, wydaje obecnie „*Les Enfants Terribles*“ (Grasset). Niektórzy twierdzą, iż jest to może najlepsza książka autora „*Le Grand Ecart*“. Elizabeta i Paweł są niemal sierotami, gdyż ojciec ich jest alkoholikiem, a matka sparaliżowana. W tych warunkach łatwo zrozumieć, że wychowują się sami. Los ich nie będzie lepszy, gdy po śmierci matki zajmie się stroną materjalną ich egzystencji znajomy lekarz. Dzieci pozostawione same sobie żyją w atmosferze niezdrowej imaginacji i marzeń, do których mieszają się ich własne, nieświadome uczucia, bliskie czasem nienawiści, albo miłości. Autor nastaje specjalnie na fakt, że idą one za głosem instynktu, niezdolne jakoby rozróżnić dobre od zła, ale pomimo tego uczucia ich są czyste. Kiedy zaś wreszcie dorosną, Elizabeta poślubi żyda-miljardera, który nieomieszka zginąć w automobilowym wypadku, aby jej pozostawić swoją fortunę. Dzięki temu, młoda wdowa będzie mogła w bogatem mieszkaniu gościć swego brata oraz młodą pannę Agatę. Jakkolwiek kochają się oni, to jednak Elizabeta, idąc może zawsze za głosem swego instynktu, przeszkodzi ich pobraniu. A skoro z tego powodu Paweł truje się, ona odbierze sobie życie. W książce tej niema jasnych horyzontów i nastrój jej jest równie niepokojący jak pasmo życia dwóch wykolejonych bohaterów. P. Cocteau, bez żadnego moralizatorskiego celu, niemniej wykazuje w niej, chcąc nie chcąc, znaczenie wychowania dla rozwoju nietylko umysłowego, ale przedewszystkiem uczuciowego dzieci. Pozostawione bowiem swym instynktom, mogą zostać łatwo sprowadzone na manowce — i być nietylko same nieszczęśliwemi, ale i unieszczęśliwić otoczenie. Temat dosyć drastyczny, ale owiany ogromną subtelnością, a ujęty w bardzo wykwintną formę literacką.

OFENSYWA

MUSZTARDA FIRMY OPPMAN

ŚWIETNĄ bywała kiedyś musztarda firmy Oppman i to przy obiedzie, przed obiadem i po obiedzie. To, co obecnie fabrykuje Or-Ot, jest już stanowczo mniej smaczne. Ale bo też i produkcja przeszła granice masowości. Obecnie firma Or-Ot poprostu zalewa już szpalty sanacyjnych pism swoją żółtą muszkulancją. Nie przepuści on żadnej rocznicy, żadnemu bohaterowi, żadnej bitwie, żadnej znakomitości, żeby go nie obrymował doszczętnie od góry do dołu. Skończy się Traugutt, zaczyna się Chłopicki, po Chłopickim Madaliński, po Madalinskim Małachowski, po Małachowskim Kostiuchnówka, po Kostiuchnówce Kirchholm, po Kirchholmie Leszek Biały, po Białym Czarny, Kędzierzawy, Laskonogi, Krzywousty, po Krzywoustym Krzywopłoty, poczem idzie serja Bemów. Trzydzieści pięć wierszy o Bemie „aniele artylerji" pisze Oppman niezmordowany. Jeszcze ma na warsztacie czternaście Warneńczyków, dziewięciu Koniecpolskich, czterech Stasziców. Bogusławski się skończył, ale nadchodzi Pułaski i zamówień na towar będzie w sezonie chyba bardzo dużo. Już do słowa: „Savannah" ma zebranych sto trzynaście rymów, wśród których jest i „hosanna" i „dziewanna" i „Marzanna". Or-Ot na starsze lata pobił w masowej wytwórczości okolicznościówek wszystkie musztardy konkurencyjne. To jest poprostu Fordyzm poetycki. Obecnie zakłady Oppmanowskie mogą się podjąć wyrabiania dwóch wagonów dziennie i rozsyłania już w „gustownem opakowaniu".

Zawiódł stosunkowo dzień szósty sierpnia. Przygotowanych było pięć sztuk wyborowych pięciostrofowców z tych dwa o Belinie, reszta o reszcie. Zamówienie przyszło tylko z jednej hurtowni Kaftala et Comp. Tylko Ehrenberg zgłosił się do Oppmana o małą beczułkę wyborowej. Tytuł był: „Wymarsz Kadrówki", a w tym wymarszu takie perły jak: róg — dróg, spał — wrzał, targ — warg, śpiew — krew, zderzył — uwierzył, wódz — zmódz, lat—świat, wąż—mąż i t. p., a koniec taki:

„Cóż dyplomacji chytry wąż!
Cóż ugodowe słówka!
To wielki nieugięty mąż,
To Jego czyn: Kadrówka".

Na „Belinę" nie było ani jednego zamówienia, na „Oleandry" było jedno, ale targowali się godzinę telefonem, a wieczorem odwołali obstalunek.

Widocznie ciężka ciasnota gotówkowa, skoro na tak smaczną i niedrogą musztardę nie mogą sobie ludziska pozwolić. Ale bo też ma rację „Marja Jehanna Wielopolska", kiedy w tym samym „Poranniaku" lamentuje:

„Tylko świat wyrzutków, świat zbrodniczy, tylko Polak będący nim z przypadku, nie obchodzi uroczyście dnia 6 sierpnia, godziny narodzin polskiego Żołnierza, polskiej Armji: wolnej Polski. Tylko półgłówek nie pojmuje jak doniosłą rzeczą nietylko dla Polski ale dla dziejów Europy, było ruszenie tej małej garstki żołnierzy z Krakowa, dnia 6,8.1914 i wypowiedzenie wojny wszechpotężnej Rosji przez wodza tej garstki. Tylko faktor „obcych agentur"...— it.d.

Fatalny spadek pokupu rymowanej musztardy Oppmanowskiej, specjalnie zaś wyborowego gatunku świeżo przez firmę wypuszczonego: „Kadrówka" wykazał, że naród nie chce obchodzić uroczyście dn. 6 sierpnia, *ergo* że składa się ze „świata wyrzutków", „świata zbrodniczego", „półgłówków" i „faktorów obcych agentur".

Wyjątkiem chwalebnym jest „Marja Jehanna" największy konsument i odbiorca dzisiejszej żółtej musztardy firmy „Oppman i Spółka".

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Czas" krakowski zamieścił korespondencję z Nowego Yorku, w której takie oto narodowi polskiemu daje pouczenie:

„Życie w Polsce jest przeżarte, zatrute nacjonalizmem. Serce boli, czytając polskie dzienniki. Proszę zauważyć tylko nagłówki depesz: „Bezczelność prusaków", „Wiarołomność litewska"... Dość tego, na miłość boską, dość! Nie każcie nam nienawidzieć kogoś ciągle, na każdym kroku. Pozwólcie nam na chwilę zapomnieć o tym Prusaku"... i t. d.

Łatwo bardzo wyobrazić sobie, jak wyglądałyby nagłówki depesz o niedawnych zajściach w Opolu, sporządzone według „ideologji" „Czasu". Czytalibyśmy zapewne: „Zainteresowanie miejscowej ludności niemieckiej występami opery polskiej w Opolu." „Bliskie zetknięcie się młodzieży niemieckiej z artystami polskiemi..." I serce „czytające dzienniki", odrazu przestałoby boleć...

*

Od piętnastu lat przywykło się już do tego, że w sierpniowych mowach lub listach, stale i nieodmiennie powtarza się jakiś jadowity zwrot do Polaków, jakaś parafraza „pieskiej" strofki marsza „My, pierwsza brygada". W tym roku brzmiał on tak: „Przeciw nam (legjonistom), przeciw naszym dążeniom wyrzucano zawsze płatnych, najętych Polaków, których zawsze posiadano dostateczną ilość, tak, aby ci—nie zaborcy—handlowali dla swej korzyści naszą krwią".

Ciekawe, których Polaków miano tu na myśli. Którzy z nich handlowali krwią legjonistów i z ramienia których to zaborców?

Bo ci właśnie, co w łączności z Niemcami popierali tworzenie legjonów i następnie dążyli do przekształcenia ich w „*Wehrmacht*" dla dostarczenia Niemcom pół miljona polskich żołnierzy przeciw Koalicji, tworzą wszak karne szeregi BB i „współpracują" z autorem zacytowanej inwektywy. Rzucanie jej pod ich adresem jest więc dziś czarną niewdzięcznością.

Do innych, t. j. do całej ogromnej większości narodu, inwektywa odnosić się nie może choćby już z tej logicznej racji, że większość ta, pragnąca zwycięstwa Koalicji, a nie Niemców, nietylko nie „handlawała krwią legjonistów", ale wyraźnie przeciwstawiła się samemu tworzeniu legjonów i powstrzymywała młodzież polską od przelewania krwi w braterstwie broni z Niemcami.

*

Wyjątek z przyszłego „Słownika języka polskiego":

„SANACJA—od łacińskiego „*sanatio*" = uzdrowienie, uleczenie. Z czasem wyraz ten nabrał odcienia pogardliwego i używany był pospolicie w znaczeniu: korrupcja, marnotrawstwo grosza publicznego, protekcjonizm, bezprawie i t. p. Szczególnie obelżywym stawał się, jeżeli użyto go w zestawieniu „sanacja moralna". Od tegoż samego źródłosłowu przymiotnik „sanacyjny" oraz rzeczownik „sanator" (patrz „fagas").

*

Nakładem Tow. Wiedzy Wojskowej wyszła książka Cezarego Jellenty pt. „Józef Piłsudski jako pisarz i mówca". Dowiadujemy się o tem studjum z fejletonu dziennika sanacyjnego „Epoki", w którym p. Widz (Wassercug) rozwodzi się o zasłudze Jellenty: „Była to luka, która musi być wypełniona"—pisze z powagą. Przytacza przytem próbki „syntezy" z książki. O stylu listów i przemówień Piłsudskiego p. Jellenta wyraża się, że „raz po raz wystrzela w górę racami tęczowemi i odsłania swój rodowód poetycki, a nawet romantyczny. Po zaćmieniach chmurą namiętności następuje jasna zorza borealna". Tak samo racami tęczowemi strzelał p. Jellenta na „wiwat", gdy chodziło o przelicytowanie wszystkich uwielbień dla Norwida; tak samoby strzelał, gdyby to pokupne było, i na cześć przeciwników czy Norwida czy Piłsudskiego. Mniejsza o to. Chcieliśmy tylko wskazać palcem na rodzajowy obrazek, jak dwu żydków przy korytku chwali sobie jadło, mlaszcząc a pokwikując. Oto obraz literatury polskiej w Warszawie w dwa stulecia po epoce saskiej, po tylu wysiłkach dźwignięcia się z upadku. Co oni robią z kulturą polską!

*

Pokolenie dzisiejsze bez pomocy herbarza nie dojdzie rodowodu różnych nazwisk literackich. Nie wie np., co to za nazwisko: Jellenta. Był sobie adwokat Nuchim Hirszband. Przybrał do inicjału imię (co sobie żałować!) Napoleon. Gdy wypadło zrobić pseudononim literacki, Napoleona zastąpił Cezarem, a nazwisko rozczłonkował i przełożył na języki słowiańskie: *Hirsch*=jeleń, *Band*=po rosyjsku „*lenta*". Razem Cezary Jellenta. Mężny jest jak Cezar, ścigły jak jeleń, a lenta (wstęga)—to giętkość i przeczucie wysokiego orderu. Któż teraz zgadnie: rzymianin, czy słowianin? Może Druid? Może baron cygański z Rumunji? Któżby pomyślał, że Polak z Warszawy, co tu mówić: mazur.

*

Dzienniki powtarzają za „Gazetą Grudziądzką" (nr. 31) wyjątki artykułu wstępnego senatora Wiktora Kulerskiego, w którym ten radosny dotąd współtwórca dzisiejszych stosunków tak o dyktaturze sławetnego Sławka w Be-Be pisze:

„Polacy nie na to wyszli z niewoli, przeklętej pamięci moskiewskiej, pruskiej i austrjackiej, by we własnym wolnym kraju znosić niewolę azjatyckich lub półazjatyckich mentalności, by znosić niewolę, jaką to rzekomo bezpartyjne Be-Be im chce zgotować, niewolę, wedle naszego zdania, niewątpliwie gorszą, niż ta, jaką nad Polską Kongresową rozciągnął przed stu laty krwawy tyran belwederski, Konstanty Pawłowicz Romanow, brat carski—chcący do utrwalenia tej niewoli nadużyć wojska polskiego.

Tej przygotowanej przez Be-Be niewoli naród polski nie zniesie...

To też rzeczą jest pewną, że jak przed 100 laty naród polski porwał się do zbrojnego czynu i jak narzędzie, zapomocą którego krwawy tyran belwederski narzucał Polsce kajdany niewoli, obróciło się przeciwko niemu i wymiotło go z kraju — tak i dziś wolny przecież naród będzie umiał poskromić gotującego się do łamania kości i prawa, do zamachów stanu — p. Sławka i towarzyszy, czyli całe Be-Be i tych, którzy za nimi idą—gdy swe zamiary łamania prawa, łamania kości będą chcieli wprowadzić w czyn".

Jakoś zaczyna się rozwidniać w sumieniu polskiem.

TREŚĆ: W świetle konferencji haskiej *St. Kozickiego*. — Rozkład i pustka *St. Sachy*. — Masonerja a polityka *M. Wierzbiny*. — Humanista na wygnaniu *Wł. Jabłonowskiego*. — Liberum veto *Al. Świętochowskiego*. — Głosy: Dywan Wilanowski *G.*; K. K. (Konserwatyści klanowi) *K. M. Morawskiego*. — Wychowanie narodowe *J. Zamorskiego*. — Nauka i literatura („Kupujcie wyroby polskie!" *R.* i t. d.). — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego*. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 2545. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 1290.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45, Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI   Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15,   PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM